CENA 20 ZŁ

W numerze: Wśród pisarzy słowiańskich

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 31 (140) — KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 1 SIERPNIA 1948 R. — ROK IV

ZBYSZKO BEDNORZ

Nauczycielka

Słuchowisko radiowe

(Rzecz dzieje się w jednej ze wsi na Ziemiach Odzyskanych w roku 1945. Ranek październikowy. Pani Cecylia, młoda nauczycielka, wraz z kierownikiem szkoły (starszy schorowany człowiek, jednak pełen entuzjazmu, ruchliwy i pogodny) przekształcają prymitywną izbę o świeżo bielonych ścianach na klasę szkolną)

GONG

CECYLIA: *(głośno w kierunku otwartych drzwi)* Niechże pan nie schodzi z drabiny, już ja podam... *(słychać kroki; po chwili stuk spadającej szuflady i wysypujących się gwoździ, pluskiewek, śrubek, narzędzi — szuflada wypadła jej z rąk)* Och!

KIEROWNIK: *(głos z drugiego pokoju)* Na miłość Boską, cóż tam?

(milczenie)

CECYLIA: *(do siebie półgłosem)* O Boże, już nie mam sił.

KIEROWNIK: *(kroki, głos w pokoju)* Pani Cecylio, cóż pani najlepszego zrobiła? Ale niech się pani nie martwi, jakoś te gwoździe i narzędzia pozbieramy; no, dalej, dalej, bo nie ma czasu. A nie wołałem to, żeby pani zostawiła! Zawsze należy słuchać starszych.

(Za drzwiami hałas, skrzypienie drzwi, przesuwanie ławki. Wchodzą dwaj chłopi z trudem przepychając się przez drzwi z wnoszoną ławą szkolną)

KIEROWNIK: No, jest ławka, chwalić Boga.

CHŁOP I: Gdzie ją ustawimy?

CHŁOP II: Panie kierowniku, może tu na razie?

KIEROWNIK: Dobrze, a ileście przywieźli?

CHŁOP I: Niestety 5 tylko.

CHŁOP II: Bo to się można dziwić, panie kierowniku, stało to na deszczu i śniegu przez długie miesiące, poniszczyło się, ludzie pobrali na opał. Zdatnych do użytku, porządnych ławek było tylko 5, reszta szmelc, tośmy i nie brali.

CHŁOP I: Co to, panie kierowniku, okno wybite, przecież jeszcze wczoraj było całe?

CECYLIA: Wieczorem jakiś wyrostek wyrżnął kamieniem. Oj panowie, czuję, że będziemy mieć wiele kłopotu z waszymi dziećmi.

CHŁOP I: Pani się dziwi? I my mamy z nimi kłopot. Bo to człowiek miał czas na smyków! Samo się to chowało, szkoły się boi, wojna pani nauczycielko...

CHŁOP II: Wiesz Błażej, wojna wojną, ale synków naszych musimy nauczyć, że szkoła to nie szpaki, do których się celuje kamieniami. Panie kierowniku, upraszam serdecznie, byście nicponiom ręki nie żałowali.

KIEROWNIK: *(śmieje się)* Oj, panie Błażeju, takiej starej ręki, albo takiej rączki naszej pani nauczycielki pewnie się chłopaczyska nie ulękną. No, ale damy sobie z nimi radę. Panno Cecylio, gdzie jest młotek? *(wychodzi)*

(Chłopi wychodzą również, otwierają się drzwi, skrzypią)

CHŁOP I: *(od drzwi)* Pani nauczycielko, a gdzie jest ta nasza druga pani, co to przyjechała dwa dni temu? Sołtys mówił, że jej już mieszkanie szykuje.

CECYLIA: Porozmawiamy później.

CHŁOP I: A bo co?

CECYLIA: Ona pewnie nie zostanie, bo... bo..., panie Błażeju, porozmawiamy później.

CHŁOP I: O... Co tam pani na tej tablicy tak pięknie wypisała? *(głośno sylabizuje z trudem)* „Szk-oła po-wszech-na w Chę-ci-skach nad O-drą powiat Gło-gów". *(wychodzi)*

KIEROWNIK: *(kroki, przychodzi)* Panno Cecylio, może pani mi pomoże przenieść drabinkę *(głos się oddala i znów przybliża).* Ano pani nie spojrzała jak tamta klasa wygląda; w ogóle panno Celinko, jest pani jakoś dziwnie zachmurzona, a tu nie ma czasu się chmurzyć, bo... za godzinę zwali się nam dzieciarnia. Acha, żebym nie zapomniał. Rozmawiałem wczoraj z księdzem, prosił, by się pani zajęła zorganizowaniem chóru; trzeba, trzeba. A, o sklepiku szkolnym kto ma pomyśleć, panienko? Ale psiakość, czy pani tę mapę wykończyła wczoraj? Miałem też zapytać, o co też to miałem zapytać... mam. Kiedy to pani poszła wczoraj spać? Bo coś mi się wydawało, jakby jeszcze o drugiej w nocy się u pani świeciło. A, to pewnie ta przyjaciółka, co to nie chce u nas zostać.

CECYLIA: Nie, to nie koleżanka, to to okropne mapsko. Jeszcze nigdy w życiu tak wielkiej mapy nie rysowałam. Raz Wisła wypadała mi za długa, raz Odra za krótka. Raz wyglądało tak, jakby Wrocław był w środku Polski, a Zakopane gdzieś koło Krynicy; nie mogłam sobie dać rady.

KIEROWNIK: Dwie was tam było i to kwalifikowane nauczycielki. Ej, niech się pani przyzna, żeście więcej plotkowały niż pracowały.

CECYLIA: *(szelest papieru; rozwija mapę narysowaną na pakowym arkuszu papieru)* Oto moje arcydzieło panie kierowniku... Trzeba ją gdzieś bardzo wysoko zawiesić, żeby jej nie było widać.

KIEROWNIK: *(śmiejąc się)* Ja pani tu dam za takie podejście pedagogiczne.

CECYLIA: Czy ta Odra nie wydaje się panu jednak za krótka?

KIEROWNIK: Pani Cecylio, ta mapa jest pierwszorzędna; tylko niech pani tu jeszcze dopisze do nazwy „Nysa" słowo „kłodzka", a tu koło Zgorzelca niech pani napisze „Nysa zachodnia".

CECYLIA: Ehm, słusznie, skoczę po atrament. *(Kroki od drzwi)* Pan mówił o koleżance? nie, nie, nie rozmawiałyśmy długo z sobą, pokłóciłam się z nią. Nie mogę jej poznać, to zupełnie inny człowiek niż my. Nie jest taka młoda jak pan, panie kierowniku.

KIEROWNIK: *(wchodzi na drabinkę, ostrożne stąpanie, woła)* Panno Cecylio, niechno mi pani jeszcze poda portret Prezydenta. Na tej wysokości, będzie dobrze?

CECYLIA: Może trochę na prawo.

KIEROWNIK: Niechże pani jeszcze zaczeka, wykończymy najpierw tę robotę. *(stuk młotka, przybijanie, rzuca gwóźdź o ziemię. Ciężko oddycha, jak człowiek chory)*

CECYLIA: Proszę, ten gwóźdź będzie lepszy.

KIEROWNIK: Tamten też był dobry, tylko ze mnie kiepski rzemieślnik *(przybija).* Tak, a teraz poproszę o Marszałka Żymierskiego.

(pukanie do drzwi)

GENIA: *(nie czekając na „proszę" wchodzi; głos pretensjonalny, w zachmurzeniu)* Dzień dobry.

KIEROWNIK: *(z drabiny)* Rączki całuję, jak się pani spało? Pewnie nie tak jak w Łodzi?

GENIA: No nie, dlaczego?...

KIEROWNIK: Wy tam w środku kraju mówicie „dziki zachód", a ja pani powiem, że spać, to się tak samo śpi tu jak i tam, tylko, że tutaj się krócej śpi, bo tu trzeba więcej pracować. *(Hałas, rumor, chłopi wnoszą drugą ławę)*

CHŁOP I: Co pan mówi, panie kierowniku, pracować? jużci pracować, ale...

CECYLIA: *(siląc się na uprzejmość)* Jadłaś śniadanie Geniu? Zostawiłam na stole dwa ugotowane jajka, masło i chleb, tylko nie wiem, czy kawa jeszcze była ciepła...

GENIA: Dziękuję ci, napiłam się kawy, nie czułam głodu. Przyszłam, bo chciałam się z tobą pożegnać. Zdecydowałam się pojechać rannym pociągiem.

CECYLIA: Bądź łaskawa zaczekać, za chwilę wrócę, przyniosę tylko atrament.

(Kierownik i chłopi wychodzą również — słychać kroki)

GONG

GENIA: *(Sama. Przeciąga się)* Och, nie wyspałam się. Trzeba jak najprędzej z tej dziury uciekać. *(Nuci melodię bez słów: „Czy pamiętasz tę noc...")* *(Z dala słychać kroki i głosy dziewczynek, które się coraz więcej przybliżają)*

DZIEWCZYNKA I: *(po cichu)* To ta nasza nowa pani.

DZIEWCZYNKA II: Idź, daj jej te kwiaty.

DZIEWCZYNKA I. Ale to jest inna, nie ta nasza pani.

GENIA: Co chciałyście dziewczynki?

DZIEWCZYNKA I: Nasza pani kazała nam przynieść kwiaty; gdzie jest nasza pani? Czy pani nas też będzie uczyć? *(chichoty i szepty dziewczynek)*

GENIA: Nie, nie będę was uczyć. macie inną panią.

DZIEWCZYNKA I: A pani będzie uczyła chłopców?

GENIA: Moje dzieci, nie bądźcie takie ciekawskie, zostawcie kwiaty i idźcie.

(Dzieci szepcą między sobą. Skrzyp drzwi, wchodzi Cecylia)

CECYLIA *(zauważywszy dzieci, z daleka już woła)* Haneczko, Basiu, dziękuję wam za kwiatki, nie zapomniałyście; tylko co zrobimy z wazonikami? A ty jak się nazywasz? *(do trzeciej)*

DZIEWCZYNKA I: To jest proszę pani Basia od Michalaków, jej tatuś zginął od miny na polu, dlatego proszę pani Zosia ma czarną wstążkę.

DZIEWCZYNKA II: Proszę pani, proszę pani, może przyniesiemy butelki do tych kwiatów. Tam gdzie mieszkamy, w naszej piwnicy jest tyle butelek. Proszę pani, tatuś mówił, że ci Niemcy pili bardzo dużo wódki. Jest to prawda, że Niemcy...

CECYLIA: Dobrze już, dobrze dzieci, później porozmawiamy, biegnijcie teraz szybko po butelki, bo nam kwiaty zwiędną. *(krzycząc do wybiegających dzieci)* Przynieście też wody... *(do Geni)* Możebyś została przynajmniej do południa; odprowadziłabym cię po uroczystości szkolnej na stację. Proszę cię, potrzymaj mi tę mapę, muszę tu coś poprawić.

GENIA: Celu, jesteś wściekła na mnie, ale nie masz powodu. Wymagasz ode mnie za wiele.

CECYLIA: Niczego już nie wymagam od ciebie. Poznałam cię teraz dopiero do gruntu i mogę ci to powiedzieć, że rozczarowałam się. Tak nam wszystkim zawracałaś głowę, w czasie naszych tajnych kompletów pedagogicznych podczas wojny o tym, że pójdziemy gdzieś na zachodnie ziemie Polski budować polską kulturę *(mówi to przedrzeźnianym patosem),* kształtować serduszka dziecięce, przywracać im polskość zapomnianą. Ileż to się nadeklamowałaś o tym, że nauczycielka to oficer frontowy, walczący o najwyższe ideały narodu i ojczyzny. Och Geniu, nie przypuszczałam, że to były frazesy. Tak, ale tymi frazesami ja się przejęłam i wydaje mi się, że czułabym się chyba jak zbrodniarka, gdybym teraz opuściła tę wiejską szkołę, tu, nad Odrą.

GENIA: Jeśli ja wygłaszałam frazesy przedtem, to ty je wygłaszasz teraz. Celu, pozujesz na bohaterkę. Jesteś nudna z tym swoim patosem. Zresztą siedź tu, ja ci nie zakazuję, chciałam tylko twego dobra; dlatego cię namawiałam, żebyś wróciła do Łodzi... *(z nagłą serdecznością)* Słuchaj smarkata, jesteś młodsza ode mnie o całe dwa lata. Zawsze kiedy mnie słuchałaś, wychodziłaś na tym dobrze. Czy chcesz sobie zmarnować życie w tej dziurze na tym „dzikim zachodzie", gdzie pracujesz nie wiadomo po co i dla kogo, bez uregulowanej pensji, bez perspektywy szybkiej poprawy warunków nauczania. Przecież to wszystko jest niepoważne: ta wasza klasa, śmiech pusty mnie ogarnia, toć ani ławek nie macie, ani książek, obrazy wycinacie z gazet, mapy rysujesz sama do późnej nocy. Celu, powiadam ci, wykończysz się tutaj fizycznie, już nie mówiąc o tym, że tu zidiociejesz bez kina, bez teatru, bez rozrywek, towarzystwa. My jesteśmy jeszcze za młode na idealizm i poświęcenie. O, taki pan kierownik to już zgrzeszyłby, gdyby chciał powrócić do miasta. Ten niech tu siedzi i uczy, jego Pan Bóg do tego stworzył, ale ciebie...

(Chłopi wnoszą 3 ławę. Gdzieś za oknami słychać już lekką wrzawę dzieci)

CHŁOP I: Pani nauczycielko, dzieciska się już zlatują, za pół godziny trzeba wyruszyć na mszę.

CECYLIA: Ile jeszcze macie ławek? Pospieszcie się panowie, gdzie poszedł kierownik?

(Drzwi skrzypią, otwierają się)

KIEROWNIK: Panno Cecylio, zaraz wracam, lecę się przekonać, dlaczego nam stolarz tej tablicy nie przynosi; chcę mieć klasę gotową ef-ef przed pójściem do kościoła. Acha, żebym nie zapomniał, niech pani jeszcze przypomni księdzu, aby zapowiedział na ambonie, że wszyscy rodzice mają przyjść po mszy tutaj, do nas. Czy pani sprawdziła jak tam dziewczynki pamiętają swoje wiersze? No, lecę, zaraz będę. Proszę tymczasem rozwiesić mapę, koleżanka pani pomoże. Nie zapomnijcie panie poprzybijać tych sentencji, które leżą pod stołem. Pluskiewki zostały w pierwszej klasie.

Słychać głosy dziewczynek, stuk obijających się o siebie butelek)

KIEROWNIK: A co to za pijaństwo się tutaj szykuje?

CECYLIA: To butelki na kwiaty, panie kierowniku.

KIEROWNIK: Wspaniale, wspaniale i o kwiatach pani pomyślała. Udała się nam nasza panna Cecylia.

(Kroki, drzwi się zamykają.) *(Słychać bulgot wlewanej do butelek wody)*

GENIA: Ten stary gaduła jest okropny w swoim entuzjaźmie. Czy tego nie widzisz, że on cię tu zamęczy? Och Boże, a z drugiej strony tak mi jakoś was żal... Czekaj, rozlewasz, pozwól zrobię to za ciebie.

CECYLIA: *(zmęczonym głosem)* Przestań już mówić Geniu, jestem bardzo zmęczona.

GENIA: Kto tak późno chodzi spać...

CECYLIA: To nie tylko to, nie, *(ironicznie)* to ten mój patos tak mnie męczy. To ta moja tromtadracja, bo tak ty to wszystko nazywasz co my tutaj robimy na tym „dzikim zachodzie". *(smutno z westchnieniem)* A może już jestem stara... Jedź sobie do Łodzi, jedź, studiuj, wyjdź za mąż za swojego porucznika. *(z zaciętością)* Ja tutaj zostanę. *(ironicznie)* Zidiocieję, będę starą panną, będę rysowała mapy do późnej nocy, będę wyczesywała wszy z główek wiejskich dziewczynek, nie będę miała takich jak ty kapelusików, będę się ubierała jak wiejska baba, o w takich długich kieckach... *(poważnie)* ale to wszystko może jest potrzebne wielkomiejska paniusiu z czerwonymi paznokciami. *(rzeczowo)* A teraz mi pomóż przystawić drabinkę, o tutaj, do tej ściany, przybijemy mapę.

(Pukanie do drzwi, wchodzi wiejska kobieta z globusem)

KOBIETA: Niech będzie pochwalony *(nieśmiało).*

CECYLIA: Pani do mnie?

KOBIETA: Nie, ja do pani nauczycielki. *(do Geni)* Wielmożna pani nauczycielko, jakem się dowiedziała, że ruszacie ze szkołą, pomyślałam sobie, że taka kula, globus mówią na to czy jakoś podobnie — którą mój przyniósł z miasta, może się pani przydać. Mój mówi, że kule takie muszą być w każdej szkole; ta leżała w ruinach. Mój tam był przypadkowo, broń Boże, nie poszedł na szaber, on nie z takich co to chodzą i węszą, a kopią, wyciągają, kradną też po trochu i na wolnym handlu sprzedają.

GENIA: To ta pani, ja nie jestem nauczycielką tej szkoły.

CECYLIA: O, bardzo pani dziękujemy za ten piękny globus. Naprawdę bardzo przyda nam się do nauki geografii. *(do Geni)* A mówiłaś, że nasza klasa nie wygląda wcale na szkołę. O, bardzo pani dziękujemy za ten globus.

KOBIETA: Niby za tę kulę? No, jużci takie kule są drogie i powiem pani, że bardzo musiał się mój namęczyć, zanim to przyniósł do domu, *(zcisza głos)* a boł sie, bo to mówią, że szaber, że nie wolno takie brać.

CECYLIA: *(w głosie pewne rozczarowanie)* Czy... pani chciałaby może pieniądze za ten globus?

KOBIETA: *(żachnęła się)* A, idźcież, idźcież pani nauczycielko, mam jeno pewną prośbę: widzi pani, nie umiem ani czytać, ani pisać, więc bardzo prosiłabym by mnie pani za tę kulę, albo jako to mówicie grobus nauczyła pisać i czytać.

CECYLIA: Doskonale!

(Chłopi wnoszą 4 ławę) *(Skrzypnięcie drzwi, wchodzi kierownik. Słychać przesuwanie mebli, wnosi bowiem tablicę razem ze stolarzem)*

(Dokończenie na stronie 4)

Nagroda Literacka Czytelników „Odry"

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody literackiej „Odry":

Stanisław Helsztyński, Warszawa
Zdzisław Hierowski, Katowice
Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa
Tadeusz Mikulski, Wrocław
Wilhelm Szewczyk, Katowice
Kazimierz Wyka, Kraków
Wojciech Żukrowski, Wrocław

Nagroda przyznana zostanie w przeddzień Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu.

JERZY ZAGÓRSKI

Z Lens do Międzylesia (III)

Niemcy w pociągu

Kiźlański pracował jako górnik w Westfalii, a potem we Francji lat kilkanaście. Teraz wraca z całą rodziną pod Leszno do Wielkopolski na własne dwudziestojedno hektarowe gospodarstwo. Jeszcze przed wojną kupił je za oszczędności, gdy praca górnika na Zachodzie była jeszcze wyżej szacowana niż dziś i można było coś nie coś odłożyć. Wtedy kupił ziemię i posadził na niej starszą siostrę — ta pisze teraz, że już jest bardzo słaba i nie da rady z gospodarką. A tymczasem właśnie we Francji z dnia na dzień zniżano dniówkę. Gospodarstwo pod Lesznem czeka, a że rodzina była zaradna, więc wracają nie tylko z rękami do pracy, ale i z inwentarzem: krową, koniem.

W Manheim pod Ludwigshafen 4 godziny czekamy. Toczy się amerykańsko-wewnętrzna dyskusja, którą trasą nas puścić. Decydują nam dorzucić 150 kilometrów drogi i 24 godziny jazdy wraz z czekaniem.

Wszyscy spacerują wzdłuż pociągu i toczą się rozmowy fachowców na temat bydła. Czy krowy te i konie, zwłaszcza perszerony, będą się nadawały do polskich warunków, gdzie raczej zwierzę drobniejsze a silne lepiej będzie pokonywało drogi.

Tak samo właśnie jak z rowerami. Francuski rower i koń są dobre, ale nie na nasze warunki.

Właściciele koni, krów i rowerów nie dają się jednak speszyć. Jeżeli z perszeronów w Polsce niema wielkiego pożytku, to ten jego właśnie perszeron ma takie właśnie zalety, że na pewno wyrówna mankamenty swej rasy. A znów tamten ma krowę o niezastąpionych osobistych zaletach. Owego rower też jest niedościgły.

Co tu gadać, przewiezienie tej właśnie rzeczy to nie tylko sprawa materialna — to zjawisko o całym podcieniowaniu duchowym.

Niech nas nie irytuje to, że wiozą z sobą te niezupełnie przystosowane do naszych dróg zwierzęta, jak i trochę wypaczone, urabiane przez nie zawsze dodatnie wpływy kultury obcej, swoje usposobienia. Wielka maszyna zwana ojczyzną wszystko strawi i w sobie zawrze. A napływ perszeronów może w skutkach zwiększyć zapał do ulepszania dróg.

Cóż to, już minęła druga po południu, a Amerykanie nie mogą nas wylawirować z węzła wjazdowego do swej strefy. Nie mogą się zdecydować, którędy nas ostatecznie puścić. Tymczasem kanikuła trwa.

Jedno cieszy, że mamy troskliwą własną obsługę, zwłaszcza tego wagonu sanitarnego, w którym zainstalowałem się z dwóch przyczyn. Raz, żeby mieć możliwe warunki do pisania, po drugie dlatego, że tu jest dobry punkt obserwacyjny. Stale ktoś zagląda i stale wnosi coś nowego..

Dwie panienki, które zgłosiły się na ochotnika do pomocy lekarza, dbają o wagon jak się należy i przynoszą stale posiłki: rano kawa z cukrem i mlekiem skondensowanym, jasny chleb, masło, ser i sardynki w puszkach à discretion. W południe zupa z kartoflami, mięsem, jarzynami i makaronem, innego dnia rosół albo grochówka, ser, czarna kawa i sardynki à discretion. Po południu kawałek czekolady i kawa z cukrem, do tego chleb z masłem i serem i sardynki à discretion. Oczywiście każdy w walizce ma jakieś kiełbasy, wina, koniaki, owoce, jaja i urozmaica sobie i sąsiadom jak może menu, tak że sardynki à discretion pozostają często nietknięte.

Właściciele krów przystąpili do handlu mlekiem. Upał. Cholera bierze, że tak często stajemy, a pociąg nigdy nie zatrzyma się przy jeziorze, lub rzece.

Badeński Heidelberg u podnóża gór żegna nas nareszcie o pół do trzeciej. Ludzie w pociągu jadą w nieznane. Rozmawiamy opalając się na słońcu w jednym z wagonów z dziewiętnastoletnimi chłopcami, którzy nigdy w Polsce nie byli. Jeden jest murarzem. Zapewniam go, że kto jak kto, ale budowniczowie są w ojczyźnie ogromnie potrzebni.

Większość tych ludzi prawdopodobnie wyląduje na Śląsku. Śląsk będzie przedstawiał mozaikę ludzką bardzo skomplikowaną, gdyż każdy osadnik wniesie tu ziarno zaszczepionej sobie kultury. Napłynęli tu ludzie zza Buga i z ziemi krakowskiej, płyną Polacy z Francji, przybywają twardzi ludzie z Westfalii, poza tym trzeba się liczyć z pewną ilością powracających ludzi mieszanego polsko-niemieckiego pochodzenia, którzy wybiorą przyjęcie narodowości polskiej za cenę powrotu. O przyszłym wyglądzie Śląska zadecyduje intensywna akcja kulturalna wśród tej ludności. Ona jedna będzie miała siłę unifikacyjną. Język polski utwierdzi się na tych ziemiach tym mocniej i szybciej, im piękniejsze będą polskie wydawnictwa, pisma, teatry.

Mamy do czynienia z ludem, który szmat świata poznał. Nie można mu dać strawy pospolitej, wulgarnej, trzeba mu dać strawę zrozumiałą ale wartościową. Nie wolno tym ludziom dać odczuć, że wracają w cywilizacyjny niż. Niech baczą redaktorowie i dyrektorzy teatrów, aby nic tu nie zostało obniżone, aby w polskiej mowie lud ten otrzymał dobry artystyczny i literacki towar. W takim wypadku miła francuszczyzna, jaką włada ta młodzież i dzieciarnia, nie przyniesie nam większej szkody.

Życzę więc tej młodzieży, aby wracając do polskiego języka, nie zapominała już tak zupełnie francuskiego. Jest przecież w naszym interesie, aby drugą mową Ślązaków nie był tylko... niemiecki. A znaczenie Śląska jest w Europie tak kluczowe, że powinien Ślązaka cechować pewien poliglotyzm. Ułatwi to tylko dzieciom tej ziemi obronę jej pozycji na rynku gospodarczym świata.

Piękne nazwisko Krasińskich nosi rodzina starego górnika. Na jednej ze stacyjek 24-letni syn rodziny na swoje nieszczęście na postoju poszedł szukać wody i kilkudziesięciowagonowy eszelon ruszył bez niego. Najwięcej płakała siostra, która go namówiła do wyprawy po wodę. Pociąg przesunął się do następnego zahamowania o 6 kilometrów, a Krasińskiego nie ma. Rodzina płacze, bo jest pewna, że teraz biedak bez dokumentu zgłosi się na policję niemiecką, która, a jakże, chodzi sobie z karabinami. Nawet straż kolejowa niemiecka ma rewolwery. Policja niemiecka odda go w ręce Amerykanów, ci zaczną się namyślać, co z nim zrobić, wyreklamowanie faceta może potrwać miesiące.

Na szczęście widzimy, jak facet wysiada z samotnej lokomotywy, która jedzie w tym samym co my kierunku. Okazał się więc godny nazwiska wieszczów, przewidział kierunek, w jakim zdążał naród. Siostra nareszcie przestaje płakać.

Bruchsal strzaskany jak się patrzy. Małe to było miasteczko, a teraz na ruinach mnóstwo działkowych ogródków.

Dziewczęta posługujące w wagonie sanitarnym opowiadają jak wielkie miano obawy przed wyjazdem, gdyż właśnie w związku z obniżką dniówek górnikom z 1100 na 450 franków miał się rozpocząć strajk. Strajk górników mógłby pociągnąć za sobą strajk kolejarzy i wtedy transport mógłby utknąć w drodze. Pragnieniem więc odjeżdżających było, aby odjazd uprzedził strajk.

Toczymy rozmowę o twardej pracy przebijaczy korytarzy pomiędzy kopalniami wzdłuż warstwy węgla. Jest to chyba najcięższa praca, pełna niebezpieczeństwa. Świder — ciężkie łomocące dłuto, które elektryczny prąd podrzuca, trzeba popychać, trzymając je całym ciałem, oparte o brzuch, jakby się je miało w sobie. Nie mówiąc o okrutnym zmęczeniu, odbija się to na trawieniu. Trudno potem jeść. Nasi chłopcy umieją ciężko pracować, nie boją się ciężkiej pracy i w Polsce, bo wierzą że będą pracować tam z większą nadzieją o lepsze jutro.

Nie trzeba oszukiwać, ani siebie, ani tych ludzi. Warunki życia w Polsce na razie są jeszcze twarde. Podstawowych rzeczy już nie brakuje, ale do luksusu jeszcze daleka droga. Tylko, że u nas wszystko zmierza ku stałemu polepszeniu, a we Francji nieuchronnie ku pogorszeniu. Fioletowe dzwonki i różowe głogi na łąkach niemieckich, pod gęstymi lasami słuchają naszych rozważań o perspektywach, jakie stają przed Polakami w Polsce, a przed Polakami we Francji.

— Widzicie ten las — mówię, spostrzegając zdziwienie w oczach, które widzą po raz pierwszy masztowe sosny, olbrzymie buki i świerki. — To jest las niemiecki. To jest już prawdziwy las. We Francji od dawna nie ma prawdziwych lasów. Takie jak te są także w Czechach, Polsce, Rumunii, w całej środkowej Europie. Rosną w krajach, które niezadługo, gdy otrząsną się ze wspomnień wojny, przystąpią do współzawodnictwa o miejsce w przyszłości. Polacy wespół z Czechami rozpoczną swój wyścig z Germanią. Jesteśmy zdrowi, mniej spaczeni i mamy szansę, ale Niemcy nie łatwo zrezygnują. A Francuzi rezygnują. Nie walczą o przyszłość. Czyta się w ich gazetach o masowej chęci wyjazdu z Europy środkowej. Mylą się, dawniej Europa środkowa eksportowała ludzi znacznie więcej niż dziś i dawniej znacznie mniej kto do niej wracał. W dzisiejszych staraniach o podróż najczęściej należy dopatrywać się rozbudzonego instynktu przygody. Chcą podróżować, przebywać granice, bardzo często dla nielegalnego handlu. Olbrzymia część nielegalnych przekroczeń granicy — to nielegalny handel. Wielu, co granicę przekroczyło w niezgodzie z prawem, potem wraca po przyjrzeniu się światu jako repatrianci. Mało kto instaluje się na stale poza ojczyzną.

Natomiast we Francji jest silny pęd do wyludniania całych okolic, przy czym ludzie uciekają nie tylko jak dawniej do stolicy, ale i za morze. Kupić domek w Północnej Afryce, przenieść się do Argentyny lub Kanady, jest dziś tendencją bardziej typową dla Francuza niż Polaka. Bądźmy szczerzy i otwarci. Poza tym nie widzi się tu niczego, co by można było zestawić z naszym procesem reemigracyjnym.

Dzisiejszy proces reemigracyjny jest zjawiskiem żywiołowym. Łatwo to tak sobie powiedzieć: w ciągu roku przewieziemy z jednej Francji 35.000 ludzi. Trudniej wykonać, to znaczy dać środki na przewóz pragnącym powrotu, jeśli się uwzględni, że przewóz ma się odbywać w dobrych warunkach i na dobre warunki. Komisje lekarskie więc muszą czuwać, raczej ograniczyć liczbę, celem podniesienia jakości.

Pociąg repatriacyjny składa się z około 50 wagonów. Sama opłata Amerykanom za tranzyt wynosi 50 dolarów od wagonu. Francuzom też trzeba zapłacić uczciwie za postój na stacjach. Wagony są polskie, lokomotywy — krajów przez które się przejeżdża. Kłopoty z lokomotywami są główną przyczyną opóźnień. Amerykanie nie zawsze się kwapią dostarczać lokomotyw na zawołanie, Czesi nie zawsze mogą, ze względu na wielkie przeciążenie tej

(Dokończenie na stronie 2)

Cóż oni mieli z Francji wspaniałej, z jej katedr, muzeów, sztuki i wykwintu?

NIEMCY w pociągu

(Dokończenie ze strony 1)

właśnie linii z Furth um Wald przez Pilzno do Pragi.

Pociągi chodzą ruchem wahadłowym. Wyruszają z Francji, aby w najlepszym razie być czwartego dnia w Międzylesiu. Czasem podróż potrwa kilka dni dłużej z powodu przeszkód natury lokalno-kacykowo-administracyjnej w okupowanych strefach Niemiec. Irytujące bywa czekanie na jakiejś parszywej stacyjce i patrzenie, jak mijają wygodne szybkie pociągi niemieckie nawet z wagonami restauracyjnymi. Nasz transport oczywiście takich luksusów nie ma. Wagony nasze są to prosto towarowe wagony, przystosowane do takiej jazdy, mocne i czyste. Cały skład jedzie do Międzylesia, gdzie następują skierowania dalsze. Ten pociąg którym jechaliśmy cały prawie pojechał jeszcze do Wałbrzycha, gdyż tam się wybierała przygniatająca większość osób nim jadących. Po odbyciu podróży w jedną stronę pociąg idzie do gruntownego mycia gorącą wodą i w stanie nieposzlakowanej czystości wraca pusty do Francji. Nie bierze z sobą żadnego towaru, gdyż nie eksportujemy do Francji przedmiotów, ażeby nie zabrudziły wagonów.

Właśnie widzimy jak w drugą stronę poważnie sunie olbrzymi pociąg z węglem, a na wagonach polskie napisy. Spotykamy w drodze wiele takich pociągów.

Psiakrew, że też pociąg nigdy nie zatrzyma się przy rzece lub jeziorze! Zatrzymał się przy sadzie. Zrozpaczony Niemiec patrzy jak paru naszych ogałaca mu porzeczki. A lepiej, żeby tego nie robili. Nie dlatego, żeby było szkoda szwabskich porzeczek, ale dlatego że obniżamy swój prestiż.

Żebrowanie na ścianach szczytowych domów ludzą, że to już Bawaria, a wieże na niektórych kościołach przypominające cebule cerkwi, potwierdzają to złudzenie. Napis na stacji Bittingheim (Württ) głosi, że to nie Bawaria jeszcze, lecz Wirtembergia.

Grube wirtemberskie baby patrzą na pociąg. Biegnie gromadka dzieci. Ktoś polewa kartofle misterną konewką, którą dźwiga na plecach, tak jest wielka.

Lud przypomina trochę Bawarczyków, tylko że jest jednolicie jasnowłosy, podczas gdy w Bawarii jest prawie równowaga między blondynami i brunetami. Zamków na wzgórzach też mniej. Szwaby zimno, ale grzecznie patrzą na pociąg. Dzieci machają rękami; gdybyż tak dało się całą Europę od dzieci na nowo wychować!

Już i afisz pasty do butów „Salamandra“, już i jaśminy przy płotach. Rumowiska żelaza i aut. Na niebie chmury niemieckie, chmury człekokształtne.

Stoimy na stacjach. O Niemcy, jak żebym was pokochał, gdybyście przestały być krajem przemysłowym, a stały się rolniczym... Gęsta jest zieleń waszych wzgórz i lasów i jak z bajki są wasze żółtawe miasteczka. Po cóż mi psują wasz krajobraz te rusztowania jak olbrzymie strachy na wróble. To linie przewodów elektrycznych. Bardzo mi się one tu nie podobają. A tak z kolei ozdabiałyby mój kraj, gdyby było ich tam pod dostatkiem.

Asperg. Ksiądz nasz z dziewczętami śpiewa polskie ludowe piosenki. Dziewczęta płaczą po francusku, a śpiewają po polsku. Mija wieczór, mija następny ranek, twardo śpi się na poduszkach z siana. Jeszcze z wczorajszego wieczoru pozostają w pamięci bogate winnice na wzgórzach pod Stutgartem. Ich gęsta zieleń odcinała się ostro od czerwono brązowej ziemi i można było zrozumieć brązy malarskiej szkoły monachijskiej, choć od Monachium dość tu jeszcze daleko.



Nasi robotnicy żyli w smutnych miasteczkach na Nordzie . . .

W niedzielę, 13 czerwca, już jesteśmy w środku Bawarii. Cebule bawarskie wieńczą wieże na wielu kościołach i wszędzie te irytujące przewody elektryczne.

Ten element ludzki, który jedzie pociągiem jest zachwycający. A jakże barwny. Stary syn kłusownika, dziś starzec z przytułku opowiada dzieje swej młodości. Właśnie następuje opowieść jak to małym dzieckiem będąc polował na szczury.

— Roz byłem chory, miołem silno goruncke i matuś mie położyła na łóżku i posła sobie. Nudzi mi się, aż tu wyjrzałem spod poduski a na pokój wysed jeden wielki scur, a za nim seść małych. Tom sobie pomyślоł jakby je tu mieć, a takżem tego pragnoł. I miołem je... A było tak. Ociec mioł na strychu fuzyjo zawse nabito śrutem na sarny. Tom sie cihutko zwlok i posed na strych, scury sie pochowały, ale ja wróciłem se z fuzyjo i tsymam jo pod piezyno. Pod wiecór scury znów sie ukozoły. Ja nic tylko takem wolno miezył w tego najgrubsego i jak nie hukne. Obrozyśmy mieli w chałupie takie wisące nierówno psy ścianie, pochyło, od góry odstające. Wsystkie pospadały. Okna wsystkie posły. Stoły sie popsewracały. Patse — scury wsystkie lezo zabite. Morde mam zbito od fuzyi tak mie kopła, a w całej chałupie dym... Somsiedzi matke psywołali z polo.

— Pewnie, panie Polerowicz, was dobrze sprała.

— Ho, ho. Psywiązała snurem do łózka i biła nie zwazając na goruncke. Potem psysedł ociec, powiedzioł: dwa razy karać nie bede.

— Toście panie Polerowicz mieli dobrego ojca.

— O, dobry był. Sam mie na strychu ucył strzelać zające.

— A skąd miał fuzję?

— Polok był.

— A miał pozwolenie?

— Psez pozwolenio.

Takie i jeszcze lepsze dzieje opowiada stary Polerowicz, który jest poza krajem od roku 1921. Najprzód był górnikiem w Westfalii, potem górnikiem na Nordzie, potem mieszkańcem przytułku.

Rodzina Lewińskich jedzie wagonem z całym dobytkiem ruchomym. Świerki, dęby i modrzewie pod Ratyzboną patrzą z podziwem na te aż trzy wagony, którymi wiozą Lewińscy swój inwentarz, narzędzia i meble, no i swoje gospodarne osoby: ojciec, matka i syn.

Na pierwszej platformie syn czuwa nad narzędziami. Widać tam pług, bronę, maszynę do oddzielania plew od ziarna, jakieś urządzenia ogrodowe. Obok psia buda, w budzie czarny pies. Dwie olbrzymie owce żrą kapustę. Dopełniają całości dwa olbrzymie sprężynowe tapczany.

Drugi wagon Lewińskich przybrany polską i francuską flagą, jeszcze bardziej imponuje.

Stoją tam dwa potężne konie, za zagrodą z prasowanej słomy, podczas gdy po drugiej stronie wagonu zażywna mocna kobieta z gulką tarczycy na szyi doi jedną z dwu wspaniałych mlecznych krów. Opodal leżą dwa skulone cielaki. Przyszły na świat przed samym odjazdem. Jedno urodziło się w nocy w oborze, drugie przyszło na świat na łące i dopiero czwartego dnia po urodzeniu gospodarze je odszukali. Było to już w przeddzień odjazdu i teraz te oba cielaki towarzyszą matkom w tym drugim wagonie Lewińskich.

Trzeci wagon Lewińskich wypełniają całkowicie meble, statki gospodarskie, a nawet wazoniki z pelargonią. Ci to wracają!

Stary Lewiński opuścił Polskę przed 27 laty, Lewińska przed 25. Poznali się i pobrali we Francji. Osiemnaście lat pracował jako górnik, potem postarał się przejść na rolę. Wydzierżawił u Francuza pięć hektarów i płacił w naturze. W rok urodzajny mógł zebrać pięć razy tyle, w klęskowy nic. Jakoś się zaopatrzył, opierzył, teraz wracają z jednym synem. Radość powrotu mąci im to, że tylko jedno dziecko im towarzyszy. Córka została we Francji bo jest zamężna, a jej mąż mimo starań nie może powrócić, gdyż ciągle odpada przed komisją lekarską. Drugi syn nie żyje. W 1942 rozstrzelali go Niemcy za udział w Resistance.

Trzeba życzyć Lewińskim, żeby najlepiej i jak najprędzej zagospodarowali się w Polsce na kawałku dobrej ziemi, w okolicach o gęstej sieci dróg, odpowiednich dla ich olbrzymich koni. A jak się zagospodarują niech dobre duchy natchną komisje lekarskie, żeby dopuściły zięcia i córkę do Polski. W dobrym sosnowym lesie zagoją się jego płuca zniszczone kopalnią.

Ludzie, którzy jadą tym pociągiem, to wszystko niemal górnicy. tylko wagony przyczepione na granicy belgijskiej wiozą kilka rodzin rolniczych. Ale ci górnicy polscy z północnej Francji zachowali wiele cech wiejskich. Gdy część rodziny szła do fabryki, część prowadziła gospodarstwo i tak powstawała społeczność robotniczo-chłopska, jednocześnie o rozwiniętej przez podróże inteligencji. Można z nimi zawiązać bardzo ciekawą rozmowę na temat tego, jak się dziś przedstawia upowszechnienie kultury w Polsce w porównaniu z Francją.

Księdzu, który 20 lat w kraju nie był, nie może się w głowie pomieścić, że nakłady książek są dziś w Polsce większe niż we Francji i że podobnie się dzieje z wartościowymi tygodnikami i miesięcznikami, że „Znak“ ma większy rezonans niż „Esprit“, że „Twórczość“ istnieje, podczas gdy wiele francuskich miesięczników poświęconych poezji i literaturze w ostatnim roku przestało wychodzić i właściwie na placu pozostają jedynie „Cahiers du Sud“. Ksiądz używa argumentu, że „chłopi francuscy czytają co dzień gazety“.... Nie gniewajmy się nań. Rozmowa z ludźmi, którzy w Polsce nie byli dwadzieścia lat, uświadamia nas dopiero, jaki szmat drogi od tego czasu mamy za sobą.

Wtrącają się do rozmowy robotnicy i zaczynają się interesować... wysokością nakładów dzienników i tygodników polskich. Ten element, ci wyszkoleni i o wysokiej kulturze robotnicy wniosą do kraju swoje wartości. Jedną z ich zalet jest nawyk normalnej, przyzwoitej niezrywowej pracy. Czas wojny przebyli w stosunkowo normalniejszych warunkach i przez ów czas nie wybili się z normalnej pracy, jak to się działo z ludźmi, których wojna zastała w kraju. Drugą zaletą tych reemigrantów z Francji jest bezpośredniość w obcowaniu i żywość usposobienia. To im ułatwi wrośnięcie w Polskę.

Będą oczywiście na początku pewne konflikty, spowodowane obyczajami, które w Polsce mniej się przyjęły niż na zachodzie Europy. Do nich należy pisanie donosów.

Polak z reguły awanturuje się, pyskuje, obmawia. Francuz te sprawy załatwia listownie.

Trzeba przestudiować zielone dziełko wydane przez Larousa „Parfait Secretair“, żeby zorientować się, jak wysoko we Francji stoi kultura pisania listów. Odcienie i szczeble ukłonów, chińszczyzna form. Cudzoziemiec albo się w tym gubi, albo przesadza. W narodzie, który stworzył tak skodyfikowaną kulturę pisania listów, w narodzie tak namiętnie pisującym, musiał powstać także obyczaj walczenia przy pomocy listów. Wyrzeknijcie się tego, wy wracający do Polski. Nie bierzcie przykładu z tych facetów, którzy udając, że służą demokracji, ani kwapią się wracać do kraju. Umarliby ze strachu już w Strassburgu, dzieci wychowują po francusku i obcinają kupony od dość wyimaginowanych zasług.

Siwą katedrę w Ratyzbonie z dwiema cieniutkimi wieżami widać już z daleka. Pociąg z naszymi ludźmi zatrzymuje się na stacji towarowej. Ciągle stajemy na stacjach towarowych. Jest to może symboliczne. Takie jest życie pracownika w krajach Zachodu.

Cóż oni mieli z Francji wspaniałej, z jej katedr, muzeów, sztuki i wykwintu? Bardzo niewiele mieli z tego, co na pracy ich i im podobnych wzrosło. Dostęp do kultury we Francji kosztuje. Muzea są płatne, kino i teatr bardzo drogie. Książki są stosunkowo tańsze, ale i te ostatnie podrożały znacznie i przechodzi się na nakłady mniejsze, a za to bardziej luksusowe, obliczone w znacznej części na południowych Amerykanów.

Nasi robotnicy żyli w smutnych miasteczkach na Nordzie, w brzydkiej prowincji, w domach bardziej przypominających baraki niż muzealne domki w Arras. „Cóż mogę mieć z wami wspólnego, o możni tego świata“, mówił Kasprowicz. Cóż mieli z gotyku Flamboyant, katedry w Angouleme, gdzie jeden święty odwrócony tyłem do ulicy patrzy na krzyż na szczycie, ci Lewińscy, ci Polerowicze?

Jeszcze dwie godziny do Czech, a jest już niedzielne popołudnie. Dochodzi godzina trzecia. Przepływamy przez piękny sosnowy las podszyty paprocią. Na stacyjce niemiecki kolejarz żebrze o papierosy. Krasińscy, widząc mienie Lewińskich, ich imponujący zwierzyniec, zaczynają narzekać na siebie, że nie wzięli kotka. Jak wyjeżdżali miauczał z rozpaczy.

Nigdy przy wielkich miastach o starej pięknej architekturze, o gotyckich katedrach i ratuszach pociąg z naszymi repatriantami nie zatrzymuje się przy głównych dworcach, lecz z dala od śródmieścia, na peryferiach, na dworcach towarowych — jak całe ich dotychczasowe życie. Miejmy nadzieję, że to życie ich zmieni się całkowicie, jak tylko przekroczą granice Polski.

Konwojent francuski, który towarzyszy nam aż do Czech, powiada, że w tym sezonie odejdzie z Francji do Polski 90 pociągów repatriacyjnych. Polskie władze oceniają tegoroczny „plon“ jako przypuszczalnie mniejszy niż zeszłoroczny, który dał 35.000 ludzi. Chodzi o to, że nie trzeba przesadzać nawet z repatriacją. Trzeba dbać nie tylko o ilość, lecz i o jakość. Element silny pociągnie słabych, ten więc element trzeba w pierwszej mierze przeflancować.

Tęsknoty za Francją nie ma w tych ludziach. Gdy mijamy już z daleka Roding, a Regen wciąż błękitnym strumieniem przewija się pod torem, powiadają, że chyba Niemcy są piękniejsze od Francji. Bronię Francji i tłumaczę, że mieli po prostu szczęście jechać przez najpiękniejsze okolice Niemiec, a znowuż we Francji mieszkali w najbrzydszej z jej prowincji.

Gdy ultramarynowe Sudety zarysowują się na niebie, wkraczamy już w krajobraz czeski.

Jerzy Zagórski.

LUDWIK EMINOWICZ

Inwokacja

Ludwik Eminowicz, poeta dobrze znany z okresu schyłkowego Młodej Polski, był jednym z pierwszych osadników literackich na Ziemiach Odzyskanych. Osiedlił się w Przesiece pod Jelenią Górą, gdzie zmarł w grudniu roku 1946. Z teki redakcyjnej wyjmujemy fragment poematu o Warszawie Ludwika Eminowicza.

Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty
roku, twój demon, czy podpala mury
stolicy Polski, by zmienić jej fronty
w swój pierwszy biwak i w rozblask ponury
wojennych wici, by zdążyły miasta,
wsi, góry, stepy, morza, firmamenty —
broń przygotować do walki, co wzrasta
w batalie ludów o byt i Krzyż Święty.
Cokolwiek będzie, swój uśmiech już za to
śle ci Warszawa, że teraz kaleką,
wychodząc z boju, ma postać skrzydlatą
więcej niż dawniej i żywszą daleko,
niby ta bujna Nike Samotracka,
co samym torsem, bez ramion, bez głowy
jest urodziwsza, bardziej zawadiacka,
niż niegdyś cały kształt jej marmurowy,
zapamiętany przez pieniądz prastary. —
O, roku wstrząsu, twój, w sygnał szturmowy
przekuty wrzesień jest godny fanfary.
Niech echo dzwoni wiersz apokalipsy,
że anioł w ziemię rzucił kadzielnicę,
a ty, wpisany w jej dymów elipsy,
zderzasz narody, niby nawałnice.
Jednak, osobo, stworzona przez fale
snów, co się w ludzkim przewalają trudzie —
są jeszcze błyski, w powietrznym krysztale
drżące przelotnie, tak podobne złudzie,
że na nie rzuci, kto trzeźwy, zasłonę,
choć tak są ważne, jak natarcie szminki
na twarze kobiet, głodem wyniszczone, —
jak śpiew skowronka, gdy ranne godzinki
wieś wyśpiewuje Przenajświętszej Pannie, —
i barwią tęczą rozmach wodzów świata.
O nich posłuchaj, chociaż nieustannie
pomiędzy nami huk armatni lata.
A zew ten rzucam w dniu, co ci zaczyna
jesień, gdy zwisnął w mgłach porannych bociek
z jutrzenką w skrzydłach, niby meluzyna
z ostatnią świecą...

Gody wiosenne w Olsztynie

Mają już tradycję uroczystości organizowane corocznie pod wymienioną nazwą w stolicy ziemi warmijsko-mazurskiej. Urządzone po raz pierwszy w r. 1946 stały się wówczas wielką ogólnopolską manifestacją narodową, wyrazem radości związanej z faktem powrotu Warmii i Mazur w obręb Państwa Polskiego. W tym roku do głosu doszła młodzież szkolna, która zjechała masowo do Olsztyna z całego okręgu, aby w ramach „Godów wiosennych“ pochwalić się wynikami z zakresu kultury fizycznej i artystycznej. Punktem kulminacyjnym 3-dniowych uroczystości, kierowanych sprawnie przez zasłużonego dla polskości Ziemi Warmijsko-Mazurskiej dra Władysława Gębika, był pochód godowy i popisy zespołów na pięknym stadionie leśnym. Inicjatorom imprezy chodziło o widowiskowe przedstawienie odwiecznej walki dobra ze złem, o zadokumentowanie, że siły dobre, pozytywne i twórcze biorą górę w organizowaniu nowego życia. Uosobnieniem sił złych stał się popularny ludowy Smętek mazurski, który przybrawszy różne postacie artystycznie wykonanych kukieł — wraz ze swymi pomocnikami tzw. kłobukami — przedefilował ulicami Olsztyna, aby publicznie ulec potępieniu i spaleniu lub ścięciu. Przeciwstawione im czynniki dobra i jasności znalazły dobitny i podniosły wyraz w barwnych inscenizacjach obrzędu gaika. Próby związania aktualnych zagadnień współczesnych z miejscowymi tradycjami ludowymi uznać trzeba za interesujące i celowe. W następnych latach z prób tych winna się wytworzyć nowa forma widowiska plenerowego o tematyce interesującej szczególnie mieszkańców połaci Ziem Odzyskanych.

Podkreślić trzeba, iż uroczystości olsztyńskie odbiegały od utartych w tym względzie szablonów. Przede wszystkim pomysłowe rozwiązanie inscenizacyjne pochodu zasługuje na pełne uznanie. Grupy defilujące w barwnych strojach nieszły w szyku zwartym, lecz tworzyły miłe dla oka układy geometryczne, a ponadto wykonywały w czasie marszu odpowiednie ruchy i tańce. Zatrzymywanie pochodu i wciąganie do tańców publiczności zebranej na chodnikach nawiązuje do najlepszych wzorów polskich i obcych. Rozmowy z pomysłowo wykonanymi kukłami, które to kukły symbolizowały ujemne strony życia narodowego, lokalnego i szkolnego, wniosły wiele radości i godziwej dumy z przezwyciężenia zła. Inscenizacje obrzędów „gaika“ urzekały świeżością i pełnią, a ludowe tańce wykonane przez kilkaset par udowodniły jeszcze raz, iż sprawnie poruszająca się, zrytmizowana masa ludzka stanowić winna główny element widowisk pod gołym niebem.

W ramach uroczystości odbyły się w teatrze im. Stefana Jaracza popisy chórów, orkiestr i zespołów teatralnych młodzieży. O ile chóry, a zwłaszcza tańce narodowe, opracowane i przygotowane przez p. Lidię Nartowską zachwyciły wszystkich prawdą wyrazu artystycznego, o tyle występy teatralne były w większości przykrym nieporozumieniem. Szczególnie „Swaty“ Dominiowej, grafomański wodewil ośmieszający chłopa, nieaktualny, pełen dłużyzn, z niesamowicie poplątanymi melodiami pseudo-ludowymi i operetkowymi — nie powinien znaleźć się na scenie szkolnej. Wady utworu, miast stonować, podkreśliła jeszcze niewłaściwa reżyseria, co w rezultacie dało przedstawienie pod względem artystycznym i wychowawczym chybione. Teatr szkolny ma na Ziemiach Odzyskanych odegrać ważną rolę nie tylko w dziele wychowania estetycznego młodzieży, ale także winien nieść słowo i sztukę polską dorosłej ludności autochtonicznej i napływowej. Zagadnienia tego teatru muszą przeto stać się przedmiotem obrad konferencji nauczycielskich, muszą być włączone do planów dydaktycznych i wychowawczych szkół. Nauczycieli, którzy prowadzą zajęcia teatralne należy przeszkolić na odpowiednich kursach, gdyż dzisiejszy stan dyletantyzmu i improwizacji odbija się ujemnie na przysposobieniu estetycznym narastającego pokolenia. Nie można zapomnieć o odpowiednim wynagrodzeniu kierowników teatru szkolnego. Urzeczywistnienie tych minimalnych postulatów jest tym konieczniejsze i pilniejsze, że nauczycielstwo wkłada w przygotowanie sceniczne imprez artystycznych wiele rzetelnego trudu, który nie zawsze się rentuje, a młodzież wnosi tu niekłamany zapał, który należy wychowawczo sublimować i całkowicie wyzyskać.

Zdzisław Kwieciński.

Wśród pisarzy

JIRZI MAREK

Barykada

W ulicę patrzały dwa brudne okna, oślepłe, jakby za nimi nikt nie mieszkał. Może na nie nigdy nie padło słońce, może nigdy nie zabłysło za nimi światło. I tylko wilgotny chłód osiadł na nich.

Były opuszczone, martwe jak dwie pieczęcie na dawno zapomnianym liście.

Wzdłuż szarych murów czynszowego domku bawiły się dzieci. Tu, między obitą ścianą a chodnikiem, rozgwarzył się ich świat; kreski kredą znaczone przedstawiały granice królestw: dziewczęta rzucały kamyczkami, uśmiechały się, rozigrane... Chłopcy tłukli się jak grzmot, krzyczeli obok straganiarskiego wózka, do którego zaprzęgnięty był chudziutki konik.

Ale gdy krzyk zanadto się wzmagał, otwierało się okno, a w nim zjawiała się rozczochrana, starcza, chuda głowa. Jej oczy błyskały złością, głos podskakiwał:

— Ciszej, wy ulicznicy! Ciszej! — rozkazuję...

— Generał! — krzyknął któryś z chłopców i wszyscy w nogi...

*

Syreny alarmowe jęczały, ale starzec był spokojny. Usiadł na rozklekotanym krzesełku, wziął w usta kawałek chleba, który leżał rozdrobniony na stole.

...Ach, wtedy było jadła i wszystkiego! I wino było przesłodkie... No tak, był tylko lejtnantem, prawda, ale żył...

Jelena, wabiło się ono dziewczę, które przypadło do gustu podtatusiałemu lejtnantowi. Tkwił już w swoich latach i nie potrafił się zbliżyć do kobiety tak beszczelnie jak młodzi fircykowie... Za to husar i Jelena...

W parę dni później zastał ich w parku, za miastem, gdzie rozpoczynał się cyprysowy gaj. Znała dobrze drogę, jako że była tutejsza, a husar pozwolił się prowadzić. Śmiali się w mroku, jak pijani. A gdy przestali się śmiać, chwycił za rewolwer...

Ręka mu opadła. W oczach młodego husara był tak szalony strach, że nie sposób strzelać. Oczy występowały mu z orbit, broda się trzęsła. Dziewczyna objęła go — lejtnant słyszał, jak szczękają jej zęby.

Odwrócił się...

*

— Wszyscy są gruboskórni, a jednak wszyscy się boją...

Nie mógł długo zasnąć. Śmiech ledwo tłumił w sobie; wspominał, jak niedawno temu bali się ludzie, gdy kupując chleb u piekarza, powiedział głośno: „To głodowa wojna! A Niemcy myślą, że ją wygrają... Młode narody, piszą w gazetach... tss...“

Ludzie odwracali się plecami — niektórzy wychodzili.

— Proszę pana... proszę milczeć... — wyrzekł zalękły piekarz i westchnął.

Pewnego wieczora zaniepokoiła go czujka, stojąca na rogu ulicy. Zatrzymał się i spojrzał na żołnierza, jak na widmo. Kto mówi o zakłócaniu porządku? Skąd się tu wzięła straż, tu, gdzie od wieków stały tylko cienie?

I uśmiał się starzec. Wszak i ten żołdak miał w oczach strach. Ma w oczach strach, choć trzyma karabin! To go uspokoiło: kuśtykał starczymi kroczkami w stronę domu. Wojak patrzał za nim.

Rano już straży nie było. Ani dzieci nie przyszły się bawić, staruszek nie miał powodu, by otwierać okno i „drzeć gębę“. Zaniepokoiło go to.

Po południu dał się słyszeć jakiś matowy huk, mnóstwo ludzi biegało po ulicy, z oddali krzyk się wznosił, jak sztandar. Ale dlaczego? Dokąd właściwie biegną? Cóż za błazeństwo ich opętało!

Na złość przyczaił się w domu. Po kiego licha kupiec zamknął sklep? Nie zjadł więc i czekał. Aż nagle w domu rozjęczał się jeden, drugi kobiecy głos:

— Strzelają!...

Staruszek legł na kanapę, wtulił się w poły płaszcza, który służył mu za nakrycie. Wzrastała w nim jakaś złośliwa radość. Strzelają? Dobrze: pozwólcie się wszyscy wybić, wy głupcy, którzy rwiecie się za chwilką marnego życia i śmierć strachem chcecie przebłagać!

Wyszedł przed dom. Jak cień stanął w tym rozgardiaszu; nikt nie zwracał na niego uwagi. Jak cień stanął przy gromadzie obrońców. Nie odganiali go, sam odszedł kawałek dalej, by nie przeszkadzać.

Zda się, stawiają barykadę?

Chciał krzyknąć, że to nonsens, że taka barykada ze starych kramów nie wstrzyma jednego granatu. Ale milczał. Ludzie byli tak opętani, że zbyteczne cokolwiek im tłumaczyć. Bali się — a ta „przegródka“ miała ich ochronić.

Przed domem przypomniał sobie, że jeszcze nie jadł. Zawrócił więc do piekarza, ale kram był zamknięty. Błazen...

Szła głucha, deszczowa noc. Cienie błądziły po ciałach osieroconych kobiet, tchórze milczeli w kącie — bohaterzy lali krew. Niepokój jakiś zawisł w tym ciemnym powietrzu — niepokój i terkot strzałów.

A nowy dzień świtał długo i z wahaniem. Ulicami pełzał szczypiący dym. To gdzieś paliły się domy. Starzec drzemał całą noc na kopcu kamieni jak straszydło.

Zbudził go głos, który wołał, że żołnierze mordują po domach kobiety i dzieci. Oczy wszystkich kobiet zwróciły się w tej chwili ku opuszczonej barykadzie, na skraju której siedział starszy mężczyzna bez broni.

— Nie bójcie się, mężczyźni nadejdą z bronią!

— Kto wie, może już koniec z nimi!

— Przyjdą. Jest tam przecież mój mąż!

Starzec zagapił się przed siebie. W tych słowach była wiara, był również i strach. Dużo strachu... Kiwnął ze współczuciem głową i nie rzekł nic. Jego nienawiść do ludzi jak gdyby zachwiała się.

A potem jak wicher przygnało paru młodych chłopców z karabinami w ręku.

— Górą wszystko pęka! Uciekajcie do domów! Przedostał się tu czołg!

Ulica osamotniała. Chłopcy, straszliwie młodzi chłopcy, obsadzili barykadę. Na starca nie zważali. Błazny! Ileż mają lat? Ostudzi ich własny lęk, gdy padną pierwsze strzały. Potem chronić będą życie

IVAN GORAN KOVACZIĆ

Cena

Franuś przebudził się po ciężkim śnie. Po Pozdrowieniu Anielskim obuł się, wsadził na głowę czapkę i po drabinie zeszedł ze stodoły. Rzuciwszy wołom kukurydzianki i cielęciu snopek trawy, jeszcze raz postanowił mocno, że skończy z życiem, że wszystko to, Boże przebacz, rzuci w diabły!

A wszystkiemu winna ta tysiączka; nie było jej. W jesieni posłali go na targ, żeby sprzedał woły i od tego czasu całymi już miesiącami roi po nocach i przeżywa niezliczoną ilość razy to wszystko, co się stało. Gdy dostał pieniądze od grubego kupca, nie zachodził nigdzie, wie dobrze. Pamięta, jak dzisiaj: były trzy tysiączki i wszyscy się dziwili, że tak dobrze sprzedał, mógłby ich wszystkich po kolei wyliczyć. Zaszedł tylko do karczmy na skraju miasta, siadł, przepchawszy się między Cyganami i chłopami, przy pustym stole i zamówił pół litra wina. Zjadł chleba i kawałeczek słoniny. Zapłacił potem drobnymi za wino, zarzucił torbę, podparł laską kulawą nogę i zadowolony ruszył do domu. Po drodze macał parę razy przez kapotę za pularesem w kieszeni wewnętrznej. Przed chatą przywitała go córka gaździny:

— Dziadku! Dziadku Franusiu, a gdzie nasze woły?! Zgubiłeś Lisa i Perana?

— Sprzedałem, kochasiu, sprzedałem za pieniądze, a nie zgubiłem!

— A kupiłeś mi bombonów?!

— Nie, jagniątko moje, nie kupiłem ci bombonów! Umarł już ten, co robił bombony!

Wszedł potem do izby i stanął wesoło przed gaździną:

— Pochwalony Jezus Chrystus! — gaździno. Jużem wrócił z jarmarku.

— Na wieki wieków! A sprzedałeś woły? Sprzedałeś! To chwała Bogu! A ileżeś dostał?

— Trzy tysiące!

— No, to ładnie, Franuś, ładnie. Będzie mógł gazda zapłacić dług, a wołki może się znajdą inne.

— O, macie tu pieniądze i porachujcie!

I gaździna poczęła obracać pierwszą tysiączkę, popatrzyła i na pieczęć, czy jest dobra, potem wzięła oglądać drugą...

— A gdzie jest trzecia, Franuś?!

Franuś skoczył, wywrócił kieszenie, wytrzepał pulares, zakręcił się na tej dłuższej nodze, a gaździna wybuchnęła płaczem:

— Och, Franuś, nieboraku czarny! A cóżeś zrobił z trzecią tysiączką?! Zrujnowałeś mnie na długi czas!

Zlecieli się i sąsiedzi, obszukali Franusia, wyszarpali go i wytargali jak kurę, szukając pieniędzy. Przybiegł gazda i także rzucił się na sługę... A nazajutrz gmina ogłosiła, że „uczciwy znalazca“ otrzyma sto dinarów, kobiety zamówiły kilka ojczenaszów do świętego Antoniego, a nawet i sam Franuś klęknął przed jego figurą. Ale pieniędzy ani śladu — — —

Żarli sługę, gryźli go dniem i nocą, solili mu żółcią i obiad i wieczerzę. A on zaczął zielenieć i więdnąć, aż zakipiało w nim i wylał swą wściekłość na szczekaczki:

— Zgubiłem, to zgubiłem. Coście się na mnie rzuciły jak osy na niedźwiedzia! Dobrze, zgubiłem tysiączkę, ale ją też i zarobiłem przez trzydzieści lat sługowania, a nie dostałem za to ani robaczywego ziarnka grochu! Policzcie, porachujcie, a będzie czysty rachunek!

Ale obmierzła mu szarpanina, gdy tylko stanął za ogonami młodych wołów, za biednymi wołkami i strzelał batem gdy one, słabe, przebierają racicami po pyle i sapią pod ciężarem.

— Od czegoś jest, pomóż im za tę tysiączkę, jeżeli im brakuje siły! — zgryźliwie hukali na niego domownicy.

Tej nocy wszystko sobie ładnie umyślił: będę pracował przez cały dzień, a pod wieczór, kiedy poorzę i pobronuję bronami, wy-

słowiańskich

ucieczką: opuszczą barykadę. Ach życie, to przecież wszystko dla młodych!

Byłby najradziej zakląć znowu, ale już zacharczał czołg i dudnić poczęły strzały. Pocisk trafił w róg domu. Cegły się rozprysły. Czołg pure całej swej okazałości. Jego załoga nie spodziewała się przeszkód. Chwilkę — milczące — zastanawiali się... A potem cały potwór zwrócił się, paląc, przeciw barykadzie.

Chłopcy spłynęli na dół, czepiając się domów, ziemi... Kamienie trzęsły się raz po raz. Wyrwane z bruku kostki drgały.

Starzec również leżał, mając usta pełne prochu.

Ruszył głową. Teraz mógł spojrzeć w twarz chłopcom, co kryli się pod domem. A było to coś niezwykłego: w ich oczach tliło się szalone jakieś postanowienie, szklana drętwota, ale strachu — strachu w nich nie było. Nie, strachu nie było.

Starzec dźwignął się na łokciach i patrzył przed siebie, tak, jakby nie mógł pojąć. Są zatem młode oczy, w których nie ma strachu śmierci? Można znaleźć na świecie człowieka, którego nie musisz znienawidzieć z powodu ludzkiej tchórzliwości? — Nie było czasu na refleksje.

Załoga czołgu uważała sprawę za przesądzoną — gąsienice skwierczały dalej. Żołnierze pod osłoną czołgu czołgali się ku barykadzie. Teraz przyszła pora na obrońców. Szybko przywarli do kamieni.

— Palcie!...

Ostatni z chłopców, wykorzystując pauzę, obejrzał się za siebie. Był sam. Tylko stary mężczyzna stał za nim i patrzał mu uporczywie w oczy.

— Nie lękasz się? — krzyknął naraz dziwnym, roztrzęsionym głosem i podszedł bliżej.

— Naprawdę się nie boisz? Nie uciekniesz?

Chłopiec nie mógł odpowiedzieć. Kule bryzgały obok. Rozumiał, że wszystko stracone. Nieprzyjaciel zajął — zda się — pozycję na dachu i sypie z góry. Teraz już koniec... Jeśli nie nadejdą natychmiast posiłki przeciwpancerne...

Ale tu już stał obok niego starzec. Schwycił za karabin, który leżał samiutki wśród kamieni, skulił się i wolno, długo mierzył. W górę. Szukał tego dachu. Chłopiec zorientował się w lot. Strzelał przed siebie, aby załoga czołgu nie zauważyła, że barykada już „kaput".

Starzec wypalił. Wreszcie! Potem znowu. Ukląkł na kolana. Ale nie — nie klęknął — raczej nogi mu zwiotczały. Strzelał jeszcze. W końcu z któregoś dachu potoczył się automatyczny karabin. Gdzie ciało padło — nie widzieli.

Tak, to już właściwie w porządku — pomyślał chłopiec. Czołg musi się zatrzymać i to w niewygodnej pozycji. Strzelali jednak dalej: chłopiec i stary mężczyzna. Ten miał wargi zacięte, twarz popielatą.

Wprost nie do wiary, ale czuł w sobie potężną skalę uczuć, która znaczyła: miłość. W tej chwili, kiedy chronił swoją strzelbą ostatniego obrońcę barykady, gdy spoił się z młodym człowiekiem, który nie miał w oczach strachu i teraz w takiej chwili wyczuwał, że w sercu jego coś gwałtownie zrywa pęta.

Lata samotności pękały w nim jak lody, lata nienawiści tajały, jak w majowym słońcu — w kurzawie strzelaniny.

Coś większego niż życiowa przegrana stanęło mu w oczach, coś słodszego wypełniło usta.

Jakaż radość! Ach, chciałby krzyczeć, ale jakoś nie szło, czy też było zbyteczne... Słodkość w ustach rosła, radość rwała się wzwyż. Zaniechał strzałów — chłopiec podawał mu nowy ładunek.

Ale już nie dźwignął ten starzec swej kościstej ręki. Już nie... Już nie słyszał, jak odsiecz przybyła, nie słyszał detonacji, która rozszarpała czołg... Nie słyszał gwaru, krzyków...

Zresztą na tym wszystkim mu wcale nie zależało. Słyszał o wiele więcej: jak śpiewa jego własne, oswobodzone serce.

*

Ślepawe okna ciemnego pokoiku rozsypały się w czasie wybuchów. Do pokoju wtargnęło świeże, majowe powietrze...

Z czeskiego spolszczył
ALEKSANDER KULISIEWICZ.

MARIA KUBASZEC

Czarownica

(FRAGMENT)

AKT PIERWSZY
SCENA PIERWSZA

(Las i mały domek po lewej stronie. Z prawej przychodzą wiejscy chłopcy i dziewczęta z miotłami, drzewem, chróstem, słomą itp. — Wieczór. Młodzież przychodzi śpiewając i równocześnie ustawiając do tańca).

Zła zima uciekła, ziemia śniegi strzepła,
prężą się leszczyny, olchy, wierzby;
Aj, a jaka suknia spod śniegu wybuchła!
Całe w niej zielone stoją Serby.
Czemu, po co, za co takiej szaty cud,
że mi świeża wiara topi serca lód.
Baj mi, baj!
Posłuchaj!
Z wiosną idzie do nas urok maja.

KATA:
Ale jeszcze maj nie zakwitł,
dzisiaj kwietnia dzień ostatni.

DRUGA DZIEWCZYNA:
Dzisiaj wiedźmy święcą gody.
Z nimi diabeł — ich pan młody.

TRZECIA DZIEWCZYNA:
Jadą poprzez leśne głębie
Mrok na ziemię spadł jastrzębiem...

MARCIN:
Sam bym dzisiaj w diaska skórze
rad z wiedźmami godów użyć!
Siedzieć na wysokim szczycie
i czatować na przybycie
czarownicy na cielęciu,
albo koniu lub prosięciu,
lub na starej miotle prościej,
(naśladuje jazdę na starej miotle)
by miał kusy moc radości!
Jakże bym rad napaść oczy,
choćby kosztem czujnej nocy.

KATA:
Aj! I swojej duszy wartość
na ogonie puścić czartu!
Krwią podpisać pismo wściekłe
na pośmiertny pobyt w piekle.
Dopieróżby była jazda
do piekielnych ogni gniazda!

MARCIN:
Czarownice — piękne żony,
grzeszne jak te z Babilonu,
ale mają krew gorącą,
oczy ogniem pałające!
— Szpak do źrałych wiśni śpieszy,
czart — do kobiet najpiękniejszych.

KATA:
To se wybierz wiedźmę jaką,
mnie w zalotach nie nadskakuj!
(wszyscy się śmieją).

MARCIN:
Nie gniewaj się, moje złotko,
czarodziejko moja słodka.
Tyżeś na mnie czar rzuciła,
duszę we mnie przemieniła.
Że jak we śnie za dnia chodzę
i w tęsknotach trawię noce.
Nie gniewaj się, moje złotko,
czarodziejko moja słodka!

WSZYSCY CHŁOPCY:
Nie bądź chmurne, cudne dziewczę,
już na ziemię schodzą zmierzchy.
Wiedźmy i Mefistofeles
niechaj święcą swe wesele!
Niechaj mioteł naszych pyski
świecą nocnym ich igrzyskom.

(Tymczasem rozgorzały ogniska i zadźwięczał młody śpiew. Pośród śpiewu wesołe igranie przy ogniskach).

Słońce zaszło, miesiąc blednie
po niebiosach chodząc w bród.
Kwiatek więdnie i ptak zwiędły
gniazdkiem koi dzienny trud.
Noc na ziemię pada!
Co tak stuka, grucha, drepce,
drzew wierzchołki na dół gnie?
Co tak szumi, straszy, szepce,
tak w powietrzu pędzi, rwie? —
Czarownice ciągną.

(Śpiew czarownic — tylko chłopcy przy ogniskach — całkiem daleko, jakby z przestworzy).

Świeć nam, blada pełnio w górze,
świećcie gwiazdy w taki czas!
Jedź do piekła, stary gburze,
grzbiety chmur, osłońcie nas!
Nieście nas wysoko!
Szum i wściekaj się wichuro,
z drzew oderwij się i pędź!
Nieś mnie stara miotło górą,
mgieł kurzawo, kręć się, kręć.
Odsłoń nam wierzch góry.

Z łużyckiego spolszczył
ALEKSANDER WIDERA.

życia

ciągnę się na szynach obok pola, jak to zrobił Gawro Pawlesza, legnę i — będzie koniec. Zleję niwę moją krwią, skoro już przez całe życie trapiłem się na niej i cierpiałem. Gaździna Manda nie będzie już więcej pokrzykiwać: — Ty kuternogo, utrapienie jedno! Gadzie jeden! — Czekaj, szczekaczko, pomszczę ja się na tobie. W każdy wieczór, gdy się ciemno zrobi, ja puk-puk o szybę i siarczysty rajwach na strychu. Zapłaciłaby wtedy i dwa i trzy tysiące, żebym tylko zamilkł. Ale nie — zdechniesz, skapiesz ze strychu i ty i każdy we wsi, kto mi dogryzł, kto mi krew wypijał.

Pokuśtykał z tym postanowieniem na pole i zaryl pługiem setnie jak mało kiedy w życiu. Spocił się, zmordował, a ciągle mu się zdawało, że wyoruje swój grób. A pod wieczór, gdy zaczął zawłóczyć, zapłakał nad samym sobą, bo wyobrażał sobie, że obrównuje mogiłkę na swoim grobie...

Zaczepił wołki o śliwę, pocałował jednego, potem drugiego i wyszedł na nasyp kolejowy, żeby poczekać na pociąg pospieszny. „Z Bogiem, piękny świecie! Z Bogiem, mój pługu, wierny przyjacielu! Z Bogiem, twarda ziemio oranico, męko i wesele moje! Umrę jak bydle, bez gromnicy, Boże odpuść! Z Bogiem, moje wołki dobre, odrobiny umęczone!" Łzy rzuciły mu się do oczu, szloch załkał mu w gardle; zeszedł jeszcze raz z nasypu, aby uściskać wołki mocno na pożegnanie. Uspokoił się nieco płaczem i łzami, wyszedł z powrotem na nasyp do szyn i legł na nich...

Ciągły się mgły i zapadał zmrok. Zaświeciły gwiazdy jedna po drugiej, jak łzy. I patrząc w to piękne niebo i te miłe anielskie oczy, co drgają złotymi rzęsami, zaczął sobie przypominać, że „pani rejentowa" chodzi po wszystkich lekarzach, aby jeszcze pożyć, choć napatrzyła się temu światu już siedemdziesiąt lat. A gazda — ponapożyczał pieniędzy, żeby mu nerkę otwarli i zaszyli. I nauczyciel zażywa lekarstwa i proboszcz... A tylko ty, kulawy Franusiu, kiepski wariacie, uciekasz na drugi świat! Uciekasz nieszczęśniku przed życiem do czarnej trumny jak kret przed słońcem do kretowiska!

Z daleka słychać było, jak huczą koła pociągu coraz to potężniej. Piszczy wrzaskliwie gwizdek. Franusia oblał pot, skropił go jak rosa trawę.

— Och, wariacie! — rzekł sam do siebie i gdy pociąg pospieszny zadudniał w pobliżu, jakby cudem znalazł się w rowie, a ciężkie koliska przegnały obok niego w ciemność. Długo słuchał dalekiego odgłosu pociągu, niemy i zdrętwiały. Dopiero gdy poczuł, jak go wołki liżą po szyi i twarzy, wyciągnął ręce i radośnie je pogłaskał:

— Witajcie moje gołąbki kochane! Bóg mi rozum wrócił! Franuś, ty tchórzu, ledwie cię poznaję. Tyś to jest ten kuternoga, co się przebijał przez życie przez sześćdziesiąt lat jak śmigłe wrzeciono!... Patrz, o mało nie straciłeś rozumu — jak ten głuptak Gawro Pawlesza, który podniósł rękę na siebie, bo mu żona dogryzała i dogryzała. Hej, a to głupiec był z niego, mógł ją przeciągnąć rzemieniem jak brzytwę i widzielibyśmy, czy by potem cięła! Rozum do głowy, Franusiu!

Poskakiwał kulawo za wołkami uradowany i wywijał biczem nad swoją głową, jak gdyby chciał śmignąć po gwiazdach i trzepnąć poczciwinę księżyc po łysej głowie!

— Ech, wy kobiety i cała wieś, nagadajcie się, nadocinajcie — ale moje życie warte więcej niż tysiączka, jak Boga mego! I słońce i księżyc i gwiazdy i ta ziemia, którą orzę, zasiewam i żnę w jesieni i szczere złoto przesypuję z dłoni na dłoń, ze stodoły do worków! Hej żywocie, radości moja!

Pociąg za pociągiem przelatywał obok niego w ciemną noc.

Z chorwackiego spolszczył
Wiktor Bazielich

Życie Liszta

Guy de Pourtales „Życie Liszta" (Przekład H. Wierzyńskiej. Słowo wstępne J. Iwaszkiewicza) Wydawn. J. Przeworskiego — 1948 r.

— „Fale ducha nie są podobne do fal morza, nie powiedziano im pójdziecie dotąd a nie dalej; przeciwnie, duch płynie, dokąd chce, a sztuka naszego wieku tak samo jak sztuka wieków minionych ma swoje zadanie do spełnienia i spełni je niechybnie." — Zdanie to wypowiedziane przez Liszta w okresie walki z zaskorupiałością i przesądami w sztuce, walki, która jak każdego wielkiego artystę nie ominęła i jego, ma w sobie tak ożywczą przez swą aktualność moc, że prawdziwie wdzięczni jesteśmy Guy de Pourtalesowi za to, iż nie pominął zdania tego w swojej powieści biograficznej. Jest ono znakomitym komentarzem zarówno do obecnych poczynań zdążających do ukrócenia „zbytniego" indywidualizmu w sztuce, jak i do dymisji, jaką zgłosił Liszt na ręce Wielkiego Księcia Karola Aleksandra, protestując w ten sposób przeciwko brakowi niezależności zrzeczeniem się po 12 latach imponującej działalności stanowiska kierownika i kapelmistrza nadwornej orkiestry w Weimarze. Jako warunek cofnięcia dymisji — warunek zresztą nieprzyjęty — postawił Liszt prawo wystawienia wagnerowskiego „Tristana". (Uprzednio Liszt wystawił już Tannhäusera i Lohengrina). Fakt ten wymownie podkreśla wspaniałą, pełną ofiarności przyjaźń Liszta dla Wagnera, której poświęca autor wiele kart swojej interesującej tak przez sam temat, jak i bezpośredniość wyrazu książki. Epoka Liszta nieskończenie bogata w wielkich twórców (dość wspomnieć poza Wagnerem takie nazwiska, jak: Beethoven, Chopin, Schuman, Mendelssohn, Berlioz, Rossini, Borodin, Korsakow, — dalej Heine, Mickiewicz, Hugo, Lamartine, Baudelaire, George Sand, Musset, Balzac, Nietzsche, Delacroix), będących ze sobą w kontakcie i niejednokrotnie wpływających na siebie — daje biografowi ogromnie wdzięczne i ciekawe materiały, z których czerpać można pełną garścią. Toteż książka Guy de Pourtalesa obfituje w interesujące szczegóły dotyczące wzajemnych stosunków między wielkimi twórcami i ich wypowiedzi na temat sztuki. Pewna powierzchowność w opisywaniu niektórych faktów z życia i twórczości niezwykłego wirtuoza — kompozytora, brak chwilami pogłębienia psychologicznego wynika prawdopodobnie właśnie z owego nadmiaru materiałów, które autor jak barwny film roztacza przed czytelnikiem nieraz w zbędnym jakby pośpiechu. Bogactwo przedstawionych postaci kobiecych, odgrywających — jak wiadomo — w życiu Liszta wielką rolę, — z dwiema sawantkami na czele: Marią d'Agoult, która obdarzyła go trojgiem dzieci i Polką księżną Karoliną de Sayn-Wittgenstein, która skłoniła go do oddania się na koniec całkowicie kompozycji — jest wprost oszałamiające. Nic też dziwnego, że niektóre sylwetki przedstawione są tylko szkicowo. Jeżeli chodzi o sprawy twórczości, ściśle zresztą łączące się u Liszta, tego „malarza nastrojów" z jego przeżyciami, Pourtales stara się uwydatnić rozwój przyświecających mu idei. Niektóre rozdziały poświęcone są głównie genezie utworów Liszta. Skłonność do mistycyzmu, do emocyj religijnych, która objawiła się w Liszcie już za czasów dzieciństwa i której artysta w ostatnich swoich latach poddał się w znacznym stopniu — tak w życiu prywatnym (wstąpienie do klasztoru), jak i w twórczości (Msza Ostrzyhomska) dała autorowi książki okazję do ujęcia w ciekawe ramy psychologiczne tego bujnego żywota przepojonego żarem ducha, a pozbawionego równocześnie jakiegokolwiek purytanizmu.

Pierwszy etap kariery muzycznej Liszta — wirtuozowstwo konsekrowane niejako przez pocałunek Beethovena złożony na czole 12-letniego „cudownego dziecka" w czasie jego koncertu w Wiedniu — przedstawiony jest przez Pourtalesa bardzo sugestywnie. Nie brak też szczególnie frapujących nas fragmentów mówiących o przyjaźni Liszta z Chopinem, który dedykował mu swoje Etiudy. — Wiedeń, Paryż, Londyn, Mediolan, Genewa, Lipsk, Hamburg, Berlin, Bruksela, Petersburg, Moskwa itd. nie sposób wymienić wszystkich miast, w których przeżywał swoje tryumfy (o „Lisztomanii" pisał Heine w swoich „Kronikach Paryskich") i rzadziej swoje gorycze „nieustraszony włóczęga", jak mówił Berlioz o Liszcie, wciąż niezaspokojony i tęskniący za spełnieniem istotnego powołania, wierny zawsze zdaniu uwielbionego przez siebie księdza Lamennais „Odrodzenie sztuki jest odrodzeniem społecznym" i wierny własnej dewizie „Genie oblige". I choć Weimar, w którym skrystalizowało się ostatecznie oblicze wewnętrzne Liszta, stał się na długie lata przystanią artysty, do końca życia odbywał on liczne podróże artystyczne. Tu wymienić trzeba jeszcze przynajmniej Budapeszt, Rzym, Florencję, Pragę, Stuttgart i Bayreuth, gdzie dokonał swojego żywota.

Ogólnie charakteryzując książkę Guy de Pourtalesa, należy stwierdzić, że napisana jest bardzo prosto i przystępnie, trafić więc może do najszerszego kręgu czytelników i spełnić tym samym znakomicie swą rolę popularyzatorską. Znawcy muzyki nie znajdą w niej oczywiście jako w biografii typowo literackiej żadnej rewelacyjnej analizy dzieł Liszta. Jest jednak rzeczą jasną, że autorowi chodziło przede wszystkim o ukazanie atmosfery, w jakiej żył i tworzył pełen uroku i niewyczerpanego żaru artysta, „dla którego idealizm — pełnia wewnętrzna i uniesienie bez granic było stanem nieprzemijającym", dla którego muzyka była „powietrzem duszy, modlitwą i pracą".

Wanda Bacewiczówna

TEOFIL KOWALCZYK

O hutniku i odbudowanej hucie

Stała jesień. I noc. I hutnik.
Puste gardła otwarły piece.
Na popiołach grał wiatr ponuro
jak w beczce.

Oślepłe gacki mroku
tłukły się w dziuplach kominów.
Wisiały cielska obłoków
na hakach masztów i szynach.

Dudniły miedziane retorty
jak wydrążone kości,
aż ogień spłynął w aorty
twej spracowanej garści.

Pasterzu zgłodniałych pieców
karmij je węgla mięsem:
jesienne deszcze z nieba lecą
w retorty wklęsłe.

Wypuść brytany płomieni
w zbrylone gwiazdy koksu:
dasz chleb tej mroźnej jesieni
własnemu chłopcu.

W dziąsłach czerwonych żarów,
w białych siekaczach ognia
wypala się Śląsk konstrukcji i kafarów
niewczorajszego dnia.

POLONICA WIEDEŃSKIE
Otton Swoboda, dypl. grafik, doczekał się uznania we Wiedniu za wykonanie polskich afiszy propagandowych

JERZY ANTONIEWICZ

Wizerunek laureata szczecińskiego

Trudno byłoby wyobrazić sobie lepsze środowisko wiedzy humanistycznej niż to, w które 14-letni Stanisław Helsztyński, syn rolnika wielkopolskiego, ur. 1891 w Kosowie n/Obrą w pow. gostyńskim, w woj. poznańskim, dostał się przyjeżdżając w r. 1905 do Wsi Narodowej pod Krakowem, do zakładu prowadzonego przez księży misjonarzy. Przyjeżdżał ze Wschowy, szkół niemieckich, pełnych szowinizmu i zachłanności pruskiej, pragnącej przerobić polskich kandydatów, dzieci Księstwa Poznańskiego, na stuprocentowych wielbicieli kultury niemieckiej. Tu zaś znajdował samo centrum intensywnej, szczerej, rozmiłowanej w tradycjach polszczyzny. Z okien zakładu mógł patrzeć na błonia krakowskie na Kopiec Kościuszki; z miasta dochodziły wieści o żywym ruchu literackim Młodej Polski, o nowych książkach Wyspiańskiego, o premierach w teatrze, o dyskusjach i wydarzeniach życia kulturalnego. Uczniowie zakładu przenoszą się kolejno na Kleparz w pobliże kościoła św. Floriana, Barbakanu i Akademii Sztuk Pięknych, a później tuż do stóp Wawelu, na Stradom, do siedemnastowiecznego pałacu margrabiów Wielopolskich, którzy po kasacie domu u św. Krzyża w Warszawie w roku 1863 stał się dla zgromadzenia siedzibą macierzystą na całą Polskę, wchodzili coraz głębiej w ducha kultury polskiej, rozwijającej się bujnie w tym środowisku, które biorąc pod uwagę ówczesną sytuację polityczną miało najlepsze szanse rozwoju.

Mówiły o tym i świadczyły kadry ówczesnych, miejscowych pracowników oświatowych. Wychowawcami i profesorami młodzieży w zakładzie byli najtężsi profesorowie krakowskich szkół średnich, skrzętnie angażowani przez ówczesnych kierowników zakładu. Figurowali wśród nich Antoni Mazanowski, Stanisław Turowski, jako poloniści, Feliks Koziowski jako historyk, Jan Jakóbiec, późniejszy kurator poznański jako germanista, Jan Stach jako fizyk, Francuzi i Anglicy, jako naucz. języków słynny Feliks Kopera jako wykładowca z dziedziny sztuk pięknych, Wallek-Walewski jako kierownik chóru i tylu, tylu innych. Nie ustępowali im, przeciwnie przewyższali może jeszcze ludzie ze Zgromadzenia, którzy nie szczędzili czasu dla swych wychowanków: ksiądz Wilhelm Michalski, znakomity biblista, ksiądz Konstanty Michalski przyszły rektor U. J., znawca filozofii scholastycznej, gorący patriota i wielki przyjaciel młodzieży, ksiądz Bączkiewicz, kanonista, autor wielu dzieł z zakresu prawa.

Sam skład młodzieży działał znakomicie na wytworzenie się szerokiego obrazu współczesnej kultury. W zakładzie współżyli z sobą ludzie z Poznańskiego, Śląska i Pomorza, którzy nie chcieli się zgermanizować w szkołach zaboru pruskiego i tu garnęli się do szkoły.

Kiedy w roku 1913 Helsztyński otrzymywał swój dyplom maturalny, z podpisem — Sternbacha, znakomitego filologa U. J., miał za sobą parę lat prób literackich w pismach młodzieży, znajomość języków starożytnych, greckiego i łacińskiego, podstawy języka hebrajskiego, wprowadzenie w języki nowożytne, zwłaszcza angielski, i niezły bagaż wiedzy humanistycznej, w której niemałą rolę odegrała bogato zaopatrzona biblioteka stradomska, stanowiąca od kilku pokoleń stację naukową seminarium krakowskiego, nie obcą również prądom najnowszej literatury polskiej i powszechnej.

Wypadki, które w ten cichy świat uderzyły latem 1914 z wybuchem I-szej wojny światowej, przerwały co prawda spokojny tok pracy naukowej, lecz przyniosły nowe, świeższe elementy, cenne dla rozwoju charakteru i osobowości swoich wychowanków. Helsztyński, odwołany jako poddany Prus w granice Rzeszy, nie kwapił się do służby wojskowej, lecz przez lata 1915-17 uczęszczał na wykłady neofilologii uniwersytetów niemieckich, raz w Monasterze, raz w Monachium, często zmieniając miejsce zamieszkania, by wykorzystać drogi czas i poznać przedstawicieli filologii anglistycznej w Niemczech w jak najszerszym zakresie. Współżycie z miejscową Polonią, Przybyszewskim, Pełczyńskim, Korzeniowskim, z grupą miejscowych malarzy polskich, wpływało korzystnie na umysł, który wchłaniał w bogatych zbiorach Gliptotek i Pinakotek dorobek artystyczny XIX i XX wieku. Dwuletni pobyt na froncie zachodnim stał się kontynuacją tych usiłowań, tym łatwiej, że jako filolog znalazł Helsztyński zatrudnienie w zarządzie ziem okupowanych w Valenciennes, z możliwością częstych wyjazdów do Lille, do Tournaix, a zwłaszcza do Brukseli.

Koniec zwycięskiej wojny aliantów umożliwił Helsztyńskiemu przerzucenie się do Warszawy, gdzie od roku 1921 działał nieprzerwanie jako pedagog i pisarz. Ośrodkiem jego pracy stało się tu gimn. L. Lorentza, na ul. Brackiej 18, szkoła, która ma swoje wybitne miejsce w rozwoju szkolnictwa polskiego między I i II wojną światową. Zdołała ona zebrać grono niepospolite. Uczyli tu w tym okresie ludzie, którzy zaznaczyli się swoją działalnością w dziejach kultury polskiej zarówno w sztuce jak w nauce. Wykładali tu w tym okresie: Wincenty Trojanowski, Stanisław Lorentz, St. Gałecki, Janusz Woliński i tylu innych. Szkoła prowadzona wzorowo przy tym doborze pracowników naukowych, była bodźcem do wytężonej własnej pracy. Kilkaset artykułów, napisanych przez Helsztyńskiego w owych latach do „Wiadomości Literackich", świadczyło o ruchliwości byłego ucznia krakowskich szkół i anglisty monachijskiego.

Praca Helsztyńskiego w czasie tej działalności pedagogicznej, której poświęcał się z całym oddaniem dla młodzieży warszawskiej, szła w dwóch kierunkach: polonistycznym i anglistycznym. Owocem pierwszej to monumentalne wydanie pełnej korespondencji Stan. Przybyszewskiego. Poświęciwszy kolekcjonowaniu tej spuścizny dziesięć lat życia, 1929—1939, zebrał Helsztyński materiał imponujący: przeszło 1800 listów pisarza, sprowadzonych ze wszystkich stron świata, opatrzonych pięciu tysiącami sumiennych i wnikliwych komentarzy, kompletnym „ja" poety. Stanowiła to swego rodzaju autobiografię intymną poety, która dla okresu Młodej Polski jest pozycją niezastąpioną i pełną artystycznych podniet. Jeżeli kiedyś otrzymamy pełne oświetlenie interesującego okresu w dziejach naszej kultury, niemałym będzie wkład, który w tym oświetleniu odegrają „Listy" St. Przybyszewskiego, wydane 1937—1938.

Zbiory pierwodruków i oryginalnych manuskryptów Przybyszewskiego, zgromadzone w ciągu wielu lat przez Helsztyńskiego, osiągnęły podziwu godną kompletność. Korzystali z nich przed I wojną światową pracownicy czescy, niemieccy i francuscy, nie mówiąc o polonistach, poświęcających większą uwagę Przybyszewskiemu. Publikacja prof. Maxima Hermana z Lille, która ukazała się w 1939 pod tyt. „St. Przybyszewski, un sataniste polonais", opiera się w głównych zrębach na I tomie publikacji Helsztyńskiego. Nadmienić należy, że spora ilość autografów, grupowanych w „Listach" uległa w ciągu wojny zniszczeniu i dzisiaj nie byłaby badaczom dostępna.

Na marginesie badań nad Przybyszewskim ogłosił autor kilkanaście essayów z dziejów Młodej Polski o pisarzach współczesnych Przybyszewskiemu. Te źródłowe, z pierwszej ręki pochodzące relacje o zjawiskach kulturalnych tej miary co Szandlerowski, Jan August Kisielewski, Theresita, Antoni Szech-Wysłouch i inni weszły w skład publikacji, drukowanej przez „Czytelnika".

Drugi dział pisarski St. Helsztyńskiego, to literatura angielska i amerykańska. Przez lat prawie 15 był on sprawozdawcą i kronikarzem ruchu anglistycznego, szczególnie na łamach „Wiadomości Literackie", po wojnie w „Odrodzeniu" i „Nowinach Literackich. Niektóre z tych prac weszły do czasopism zagranicznych, do „Slavonic Review" w Londynie, „Studies in Philology", serii uniwersytetu amerykańskiego w North Carolina, do „Beiblatt zur Anglia" i innych. Prace anglistyczne jego pióra odznaczają się tym, że są czytelne dla publiczności polskiej, nieobciążone balastem pseudonaukowym, są podawaniem rzeczy istotnych, i trafną selekcją materiału. Dotyczy to szczególnie zbioru „Od Szekspira do Joyce'a", który w roku 1948 doczekał się drugiego wydania i znacznego upowszechnienia. W ślad za tym tomem idzie drugi podobny: „Od Fieldinga do Steinbecka".

Zainteresowania Helsztyńskiego jako anglisty noszą charakter uniwersalistyczny, nie ograniczają się do jednej kategorii pisarzy, np. przedstawicieli katolickiej myśli angielskiej, lecz biorą w rachubę również twórców radykalnych, śmiałych, nowatorskich i co jest rzeczą ważniejszą, przerzucającą się za Ocean, do pisarzy amerykańskich, na grunt, po którym nauka polska dotąd nie była przywykła stąpać. Jest to wyraźne torowanie drogi następcom, rozszerzenia naszego spojrzenia na świat współczesny, przełamywanie tradycyjnego zaścianka.

Rok 1945 był chwilą osobliwą w życiu pisarza, pedagoga i administratora szkolnego. Na wezwanie władz podjął się trudnego zadania zorganizowania szkolnictwa na Pomorzu Zachodnim. Idąc z grupą operacyjną wojewódzką jako jeden z pierwszych nauczycieli, z małą garstką współpracowników, rzucił podwaliny pod system szkolny, pod szkoły powszechne i średnie w początkowych 41 powiatach olbrzymiego terenu pn.-zachodniej Polski. Wynikiem obserwacji, przeżyć, doświadczeń, swego rodzaju księgą pamiątkową tego trudnego okresu jest właśnie książka „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego", która dnia 6. VII br. uzyskała nagrodę m. Szczecina. Jest to autentyczna, pierwsza książka powstająca w ogniu prac pionierskich na Pomorzu Zachodnim, uwagi spisywane przez entuzjastę Ziem Odzyskanych, widziane oczyma poety, krytyka, Polaka z kresów zachodnich, który tu na brzegach Odry, u wrót Kołobrzegu, w Stargardzie i Koszalinie, odnajdywał ze wzruszeniem ślady słowiańskich praojców.

Treść tej książki weszła w świadomość ogółu. Budziła zainteresowanie 1945 roku w tygodnikach literackich i prasie codziennej. Tematy jej podjęto skwapliwie w wielu ośrodkach naukowych i literackich: wątek „Kaźka szczecińskiego" opracowała w osobnej broszurze K. Pieradzka, urywek o Słowińcach wszedł jako wstęp do pracy Ireny Krzyżanowskiej pt. „Bajki i podania Kaszubów i Słowińców"; entuzjastyczny rozdział o Gallu przytoczył prof. Julian Krzyżanowski w swym zbiorze pomieszczonym w „Wiedzy Powszechnej" o najstarszej literaturze polskiej. „Gall Anonim znowu jest nam bliski" trafił i do seminarium historycznego, gdzie Elżbieta Sadzewicz wzięła z niego asumpt, żeby przetłumaczyć po raz trzeci sędziwy foliał łacińskiego kronikarza z początków wieku XII i przygotować nowe monumentalne jego wydanie po polsku. W tej małej książeczce, która narodziła się latem i jesienią 1945 śród pięknych jezior i lasów Pomorza Zachodniego, tkwił jak się okazuje potężny ładunek promieniotwórczy.

Skromne dzieło pisarza, pedagoga, kuratora, którego w działalności zachodnio-pomorskiej z zakresu szkolnictwa i zainteresowań kulturalnych dla tej ziemi przyrównać można do I kuratora poznańskiego, Bernarda Chrzanowskiego, słusznie otrzymało nagrodę m. Szczecina, które w chwili jego zdobycia witane było przez Helsztyńskiego jako przez pierwszego pisarza polskiego. Helsztyński przybywał tu z centralnej Polski i witał te ziemie imieniem literatury polskiej, poświęcając im swoją pierwszą książkę, książkę skromną ale przepojoną głęboką miłością do ziemi, którą znowu odzyskaliśmy po wiekach.

Jerzy Antoniewicz.

Policzmy się

Po przeglądzie pisarzy szczecińskich, jakiego dokonaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Odry", przyjrzyjmy się środowisku jeleniogórskiemu, które najwcześniej się zorganizowało, najwcześniej na ziemiach zachodnich zaczęło działać, przejawiając zwłaszcza ożywioną działalność odczytową, która ostatnio przeniosła się z samej Jeleniej Góry na prowincję jeleniogórską, do miejscowości kuracyjnych karkonoskich oraz do wałbrzyskich warsztatów pracy.

Oto spis aktywniejszych pisarzy, zrzeszonych w jeleniogórskim oddziale ZZLP z siedzibą w Jeleniej Górze:

Czesław Jacek Centkiewicz, ur. 1904, autor wydanych książek podróżniczych: „Wyspa mgieł i wichrów" (3 wyd.), „Czeluskin" (2 wyd.), „W krainie zorzy polarnej", „Anaruk" (5 wyd.), „Lot nad śniegami", „Znowu na północy", „Biała foka" (2 wyd.).

Stanisław Kaszycki, ur. 1904. Autor tomu wierszy „Niedziela radości" i powieści góralskiej „Harnaś niebieski", drukowanej w odcinku krakowskiego IKC-a w latach 1931-32.

Teofil Kowalczyk, ur. 1908. Tom poezji „Tamtym dniom" wydany po wojnie.

Edward Kozikowski, ur. 1891. Wydał kilka tomów poezji jak „Płomyk świecy", „Tęsknota ramy okiennej" (2 wyd.), „Antologia poezji murzyńskiej (wespół z E. Zegadłowiczem), „Koniec Hortensji Europy", „Wymarsz świerszczów", „W towarzystwie wierzby", „Pięciokłos".

Stanisława Miłkowska-Iwańska, ur. 1897. Drukiem wydała „Pocałunki i śnieg", „Siódma godzina" i „Groźny dar".

Wacław Mrozowski, ur. 1912. Autor kilku tomów poezji „Mosty nad życiem", „Rzeczywiście", Antologia poezji szkolnej", „Dobranoc, dobranoc".

Nina Rydzewska, ur. 1906. Tom poezji „Miasto", powieść „Akwamaryna" (2 wyd.).

Czesław Schabowski, ur. 1908. Dwa tomiki prozy „Szarotki" i „Tama".

Jan Sztaudynger, ur. 1902. Autor kilku zbiorów poezj. „Mój dom", „Ballady poznańskie", „Ludzie", „Rzeź na Parnasie", Kantyczki śnieżne", „Strofy wrocławskie".

Paweł Szumilas, ur. 1880. Powieści „Historia Romana K.", „Hanusine serce", „Z tropu w trop" (opowiadania myśliwskie).

Z katalogu wydawnictw „Czytelnika"

(z teki fotoreportera Odry)



Tadeusz Hołuj: Próba ognia



Vaclav Rzezacz: Krawędź



Zofia Kossak-Szczucka: Nieznany kraj



Edmund Osmańczyk: Dokumenty pruskie



Adolf Rudnicki: Żołnierze



St. J. Lec: Spacer cynika

Korespondencja

Dlaczego dezerterują?

W numerze „Dziennika Zachodniego" z dnia 11 lipca 1948 r. poruszył w swych stałych „Rozmowach o kulturze" Wilhelm Szewczyk zagadnienie, które od dawna poruszone być winno.

Dezercja nie tylko żołnierza, ale i pioniera jest rzeczą bardzo brzydką. Jeżeli jednak dezercje ludzi kultury, o których Wilhelm Szewczyk wspomina, się mnożą, to muszą być jakieś powody tych dezercji. Jestem przekonany, że usunięcie powodów wstrzyma dalsze dezercje.

Okólnik Związku Zawodowego Literatów Polskich z maja 1945 r., powtarzający apel ówczesnego premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego do literatów, obiecał każdemu, osiedlającemu się na Ziemiach Odzyskanych pisarzowi, ładny domek z ogrodem i zapewniony byt. Niewielu jednak pisarzy podążyło wówczas na zachód. Ci nieliczni pionierzy narażeni byli na bardzo wielkie rozczarowanie. Piękne wille, o których nawet Wilhelm Szewczyk w swoim felietonie wspomniał, okazały się fikcją, zagwarantowany byt — takąż samą fikcją. Pisarze przekonali się, że na zachodzie uważa się ich za niepotrzebnych. (Słowem „zachód" nie obejmuję oczywiście Katowic, gdyż miasto to nie leży na Ziemiach Odzyskanych i trudno byłoby nazwać pisarza czy aktora, działającego w Katowicach, pionierem.) Pisarze przekonali się, że wojewodowie gen. Zawadzki i mgr. Piaskowski doskonale wiedzą, o co chodziło premierowi, gdy rzucał hasło: „Literaci na zachód!" Nie wiedzą tego, czy też nie chcą wiedzieć jednak poszczególni, a jakże liczni niestety, kacykowie prowincjonalni.

Zdarzyło się w Cieplicach-Zdroju, że wybitną pisarkę polską wyeksmitowano z przydzielonego jej najformalniej domku. Ta starsza pani nie miała ochoty, ani powodu walczyć o słusznie jej należny dach nad głową i wróciła rozgoryczona do Warszawy. Oczywiście, że w Warszawie opowiedziała kolegom, jak się na zachodzie traktuje pisarzy. Nie dziwmy się więc, że pisarze na zachód się nie przenoszą.

W drugim wypadku, osiedlił się w lipcu 1945 roku, pewien pisarz w małej i nudnej mieścinie na Górnym Śląsku. Uważał bowiem, że pionierzyć w dużym mieście, nie jest znowu tak trudno. Poszedł więc na głuchą prowincję, gdzie nigdy jeszcze żaden literat nie mieszkał. Ale i tam nie otrzymał, jak to apel Z. Z. L. P. głosił, pięknej willi, lecz bardzo zdewastowany i wyszabrowany domek, który własnym kosztem, bez niczyjej pomocy, doprowadził do stanu używalności.

Były wiceminister kultury i sztuki Leon Kruczkowski powiedział kiedyś, że pisarz demokratyczny nie może tylko pisać o maju i raju, lecz musi trzymać rękę na tak zw. pulsie życia społecznego i politycznego. Dotknął więc wspomniany pisarz tego pulsu, a biorąc dosłownie apel Generała-Wojewody o czujności, rozwinął swoją działalność i w tym kierunku. Szybko też naraził się wielu kacykom w mieście i powiecie ... Jeżeli mimo wszystko nie dezertuje, tak jak starsza pisarka z Cieplic, to dlatego tylko, że tkwi w nim proletariacki upór. Ale często i jemu, jak się to mówi, ręce opadają.

W tym samym mieście robi się wszystko, aby wybitnego pedagoga, kierownika szkoły i twórcę świetnie rozwijającej się spółdzielni, pozbawić prawnie przydzielonego mu domu. Wbrew dekretowi z dnia 6 12. 46, robi się różne „hocki-klocki", aby zaspokoić swoje małomiasteczkowe ambicje i ambicyjki. Takich wypadków jest niestety więcej.

Słabsze charakterem jednostki, nie mając nawet spokoju do twórczej pracy, wolą po prostu zrezygnować z walki z kacykami, czy zdezerterować, jak to określił Wilhelm Szewczyk, zwłaszcza, że w Łodzi czekają na nich dwa piękne pałace ze szkła i betonu, z windą, centralnym ogrzewaniem i pięknym umeblowaniem, gdzie znajdą ten tak potrzebny spokój do pracy. W Poznaniu również jest ładny dom literatów, a w projekcie nawet luksusowa budowla. Myślę, że Warszawa nie gorzej się do pisarzy odnosi jak Poznań, czy Łódź.

Zorganizujcie pisarzowi spokój na zachodzie, nie szarpcie mu głupstwami nerwów, nie potrzebujecie go nawet specjalnie popierać, bo sam da sobie radę, a pozostanie na Ziemiach Odzyskanych — na pewno pozostanie, zwłaszcza taki, który w najokropniejszych warunkach już trzy lata przetrwał.

Jeżeli aktorka dezertuje nawet z Katowic, to na pewno nie ma tam odpowiedniego mieszkania. Nie mamy znowu tak wielu aktorów, aby im w trzy lata po odzyskaniu niepodległości nie można było dać odpowiedniego mieszkania, bo i aktor musi mieć spokój do należytego opracowania roli. Kilka domków fińskich, postawionych dla aktorów w pobliżu przystanku tramwajowego, rozwiąże tę sprawę. Myślę, że wspomniania aktorka przestanie wówczas marzyć o Szyfmanie, u którego na pewno, jak to słusznie zauważa Szewczyk, niewiele by grała. A aktor chce przede wszystkim grać.

Cieszyłbym się bardzo, gdyby tych kilka spod serca wykrojonych słów, zmieniło nieco ustosunkowanie się kacyków prowincjonalnych do ludzi kultury, których pobyt na Ziemiach Odzyskanych wymaga, powiedzmy to sobie szczerze, wielu wyrzeczeń.

ROMAN JURASZEK,
Pyskowice.

Z DZIENNIKA PRAGI



Rok 1848, którego stulecie obchodzimy w roku bieżącym, był rokiem wspaniałych manifestacji słowiańskich na czerwcowym Zjeździe Słowiańskim w Pradze. W obliczu ostatniego Zjazdu Sokołów, który także zgromadził radosne grupy narodowe słowiańskie i to po raz pierwszy w historii reprezentantów wszystkich narodów słowiańskich, nie wyłączając Łużyczan, warto przypomnieć starą rycinę, przedstawiającą Koński Targ w Pradze, gdzie odbyła się ta wspaniała manifestacja sprzed stu lat, połączona z nabożeństwem i odśpiewaniem narodowych pieśni słowiańskich.

Kłopoty i żale
młodego pisarza

Należę do najmłodszego pokolenia literatów, których data urodzin przypada na pierwsze lata naszej drugiej niepodległości. Po ostatniej wojnie światowej, sterany okupacją i harówką na ciężkich robotach w Rzeszy, pracowałem przez pewien czas na placówkach polskich w zachodnich strefach Niemiec, następnie zaś w Berlinie, skąd w końcu roku ubiegłego powróciłem na stałe do kraju.

Osiedliłem się na Ziemiach Odzyskanych w małym miasteczku niedaleko Jeleniej Góry. Wyznam szczerze, iż uczyniłem to za podszeptem głosów prasy i różnych instytucji apelujących do starych i młodych pisarzy, aby osiedlali się oni na ziemiach zachodnich, które pozbawione przez długie lata kontaktu z macierzą, potrzebują jak największej ilości pracowników kultury.

Hasła o pionierstwie, o repolonizacji urzekały mnie jak jakaś ciekawa, lecz nieprzeżyta przygoda. Myślałem sobie również, że osiedlenie się na prowincji wprowadzi mnie w istotne i prawdziwe związki z ludźmi i tzw. życiem. Że nie będę tkwił w jakimś papierowym środowisku wielkiego miasta, lecz w samym sercu spraw, zagadnień i problemów naszej powojennej ojczyzny.

I nie omyliłem się. Ziemie zachodnie są źródłem tak bogatych przeżyć i tak różnorodnej problematyki, dają tyle materiału obserwacyjnego, jak zapewne żadna inna połać kraju. A i ludzie tutaj są różni: ze wszystkich zakątków Polski i świata. Są repatrianci zza Buga, wilnianie, lwowianie; Polacy z Niemiec i Francji a nawet z dalekich Indii i Afryki. Każde miasteczko, wieś każda kryją w sobie wszystkie nasze gwary, stroje, obyczaje, style i typy życia. Jest to bogactwo niewątpliwe, każdemu tutaj osiadłemu łatwo dostępne i o to nie należy kruszyć kopii.

Jednego tylko nie przewidziałem, osiedlając się na polskim zachodzie. Tego mianowicie, że pies z kulawą nogą o człowieka się nie zatroszczy. Że jest się skazanym na osamotnienie, na trudną i mało skuteczną walkę o utrzymanie kontaktu z większymi ośrodkami kultury jak Łódź, Kraków czy Warszawa. Że pisarz tutaj osiadły zwłaszcza początkujący (choć niezupełnie nieznany), nie może liczyć na niczyją pomoc. Jest sam w tym okrutnym i zabijającym znaczeniu tego wyrazu.

Na łamach „Kuźnicy", „Wsi" i innych postępowych i przodujących pism literacko - społecznych naszego kraju pisze się dużo i często o troskę, jaką otaczani są młodzi literaci. Ale gdy ten młody borykający się z trudnościami poeta czy prozaik napisze do któregoś z tych pism i wyśle swoje utwory do druku lub z prośbą o ocenę ich wartości, odpowiada mu głuche milczenie. Nikt mu na jego list nie odpowie, nikt nie potwierdzi nawet odbioru jego listu.

Nie myślcie, że młody literat osiadły z dala od wielkich ośrodków pracy umysłowej pragnie, aby mu czyniono honory, na które nie zasłużył i aby natychmiast drukowano jego utwory. Nie. Po stokroć nie. Ale pragnie gorąco i ma prawo oczekiwać pomocy, rady, wskazówki. Zwłaszcza od tych, którzy tak głośno „nieją" o zagadnieniu młodego pisarstwa, którym troska o los młodych pisarzy spędza po prostu sen z powiek. Przynajmniej na łamach pism, gdzie o tym piszą.

Pisarz osiadły na ziemiach zachodnich (młody czy stary, znany czy nieznany) wciągany jest w orbitę rozlicznych spraw i zagadnień społecznych i kulturalnych i rola jego nie ogranicza się jedynie do samej twórczości literackiej. Jakże często jest on działaczem, organizatorem, prelegentem, doradcą, udziela się na wszystkie strony, nie bacząc na czas i korzyści. Zżera się na tej pracy niewątpliwie ważnej i potrzebnej, ale ze szkodą dla jego twórczości. Poznaje życie i ludzi, nowe nieznane dotychczas sprawy i zagadnienia, lecz nie ma czasu o nich pisać. A jeśli nawet skradnie trochę tego czasu ze swego snu, odpoczynku, z chwil przeznaczonych rodzinie, byle tylko pisać, byle nie wypaść z siodła i nie pozostać w tyle — nie towarzyszy jego wysiłkom odzew, pomoc, zachęta. Wiersze czy proza wysyłane do redakcji pism giną bez śladu. Bez słowa odpowiedniej krytyki, bez jakiegokolwiek znaku, że praca ta dotarła do żywych ludzi. Często lubimy powoływać się na przykłady dostrzeżone w innych krajach. Otóż należy podać do wiadomości, że w takiej np. Anglii i Rosji Sowieckiej jest pod tym względem o wiele inaczej. O wiele inaczej, tzn. o wiele lepiej.

Żaden głos młodego pisarza nie pozostaje tam bez odpowiedzi. Byłem zdumiony, gdy znakomity pisarz rosyjski Walentyn Katajew (z którym miałem możność rozmawiać ubiegłego roku w Berlinie) oznajmił mi m. in., że w Rosji Sowieckiej zarówno redakcje pism literackich jak i Związek Pisarzy odpowiadają na każdy nadesłany list najczęściej również listownie. Szczególnie zaś na listy młodych pisarzy z prowincji odpowiadają obszernie i rzeczowo. Mało. Starają się, aby tych listów nadchodziło jak najwięcej, bo są one wyrazem kulturalnego unerwienia kraju.

U nas listy początkujących pisarzy do pism literackich są jakże często tematem... humoresek i felietonów. Kto by tam na te listy odpowiadał! Szkoda czasu.

Jak na tym tle wypadają liczne głosy bez pokrycia o pomocy dla młodych pisarzy, lepiej nie mówić.

Pisma literackie żalą się ustawicznie na brak młodych krytyków, dramaturgów, powieściopisarzy, ale gdy niejeden z nich w swojej początkowej, trudnej i skomplikowanej fazie rozwoju wyciągnie dłoń o pomoc, co go spotyka? Pisałem już na początku: głuche milczenie.

O, kraju wiecznych paradoksów!

Jan Koprowski
(Piotrowice, k. Jeleniej Góry)

NAUCZYCIELKA

(Dokończenie ze strony 1)

KIEROWNIK: Oj, widzę, że jesteście daleko w polu. Tablica tu, z boku, tak. A to co takiego? Skąd pani wzięła panno Cecylio taki wspaniały „olbrzymi świat"?

CECYLIA: Ta pani przyniosła i prosi, bym ją za to uczyła pisać i czytać.

KIEROWNIK: Świetnie gosposiu, przyjdziecie za parę dni, urządzimy tu z panią Cecylią, prawda panno Cecylio? wieczorowe kursy dla analfabetów. *(Genia śmieje się ironicznie półgłosem)* Ale teraz nie mamy czasu o tym myśleć.

KOBIET: Dziękuję, do widzenia.

GENIA: Ja już chyba pójdę... *(wpada z głośnym płaczem dziewczynka)*

DZIEWCZYNKA: O jej, proszę pana, mamusia mnie tu posłała *(nie może mówić z płaczu)*

KIEROWNIK: Dziecko mówże, przestań płakać, co się stało? *(płacz dziewczynki)* Oj, moje serce...

DZIEWCZYNKA: Mamusi z nogi bardzo krew leci, mamusia biegła za świnią w ogrodzie i w trawie była piła. Mamusia rozdarła sobie nogę. Mamusi tak mocno krew leci. O jej...

CECYLIA: *(mówi prędko, zdenerwowanym głosem)* Panie kierowniku, za chwilę będę z powrotem. Czy jodyna jest w pokoju u pana na starym miejscu?

KIEROWNIK: Tak panno Cecylio, w prawej szufladzie, niech pani zaraz wraca.

GENIA: *(z niecierpliwością w głosie)* Och, ja już pewnie pójdę. *(gwar dziecięcy dochodzi)*

KIEROWNIK: Gdzie pani pójdzie? Tu, proszę trzymać, przecież nie możemy tak zostawić klasy. A psiakość już i dzieci się coraz więcej gromadzi. *(Wchodzą robotnicy z ławą)*

KIEROWNIK: Tak, dobrze, a ten stół proszę przesuńcie pod portret Prezydenta *(przesuwanie stołu)* Tak, dobrze. No, niech pani porządnie tę mapę trzyma. Panowie, przynieście jeszcze krzesło.
(Robotnicy wychodzą, skrzypią drzwi)

KIEROWNIK: Pluskiewki proszę. Będzie równo? Niechno pani spojrzy z daleka.

GENIA: Z pana strony trzeba trochę zniżyć *(mówi to głosem nadąsanym)*.

KIEROWNIK: Na miłość Boską, toście jeszcze tych haseł też nie poprzybijały? Ta coście panie robiły, gdy ja byłem u stolarza. Proszę mi podać te tekturki, czytała pani te hasła? To panna Cecylia ułożyła. *(stuk młotka — po chwili)* A tam już dzieci *(słychać hałas i głosy dzieci)* coraz więcej. To dobrze, to dobrze. Im więcej dzieci się chce uczyć, tym lepiej. A pani pewnie dzieci nie lubi? Tylko coś mi tam za głośno przed szkołą, trzeba by tam wyjrzeć. *(Gwar dziecięcy się znów wzmaga)*

KIEROWNIK: Niech pani jeszcze nie ucieka. *(to mówi wolno, bo się rozgląda — wreszcie z wybuchem)* Na śmierć zapomnieliśmy o krzyżu. *(słychać jak przesuwa drabinkę, Genia coś nerwowo nuci)* Proszę pani, gwóźdź, o jej, za mały, większy, niech się pani nie gniewa, przykro mi, że panią tak wykorzystuję. Ten jest dobry, tak w porządku.
(Pukanie do drzwi — wchodzi trzech obywateli)

JEDEN Z NICH: Czy tu jest obywatel kierownik szkoły?

KIEROWNIK: *(schodzi z drabiny po szczeblach, ostrożnie)* Panowie do mnie? Jestem.

TEN SAM: Obywatel kierownik pozwoli, że się przedstawimy. Ja jestem sołtysem ze wsi Górki Odrzańskie, Bożek się nazywam. Ten, obywatel Maliniak, jest moim zastępcą, a to jest przewodniczący spółdzielni osadniczo-parcelacyjnej z naszej wsi, obywatel Kubiak.

KIEROWNIK: Bardzo mi przyjemnie. Kaczorowski jestem, czym panom mogę służyć? Tylko się nie gniewajcie gdy wam powiem, żebyście panowie bardzo prędko mówili, bo nie mamy wiele czasu. Nie wiem czy panowie wiecie: za chwilę ruszamy z dzieciarnią do kościoła *(przez cały czas dzieci zachowują się bardzo głośno)*. Proszę pani, bardzo proszę, niech pani coś zrobi z tymi dziećmi, przecież taki krzyk, że własnego głosu nie słychać...

GENIA: Idę, idę.

KIEROWNIK: Więc panowie?...

SOŁTYS: Krótko i węzłowato panie kierowniku. Przyprowadziliśmy 30 dzieci z naszej wsi, w której szkoły nie ma i bardzo prosimy, byście te dzieci przyjęli do waszej szkoły. Czy chcecie czy nie chcecie. Musicie nam jakoś pomóc, dopóki u nas szkoła nie powstanie.

KIEROWNIK: Ależ nie mamy miejsca, nie mamy nauczycieli. Nie mamy niczego, sami widzicie jak nasza klasa wygląda, wszystko tworzy się od podstaw.
(Dzieci się uciszyły)

KPBIAK: *(ostro)* A my niby co mamy robić, panie kierowniku?

KIEROWNIK: Czekać, aż u was powstanie szkoła. Panowie, my tu sami gonimy resztkami sił i nie wiem jak sobie damy radę z naszą gromadą, liczącą blisko 100 dzieci.

KUBIAK: Więc obywatel nam odmawia?

KIEROWNIK: Co znaczy ten ton?

KUBIAK: Ton nie ton, tu chodzi o nasze dzieci, żeby nie zostały durniami. Nie pozwolimy. *(krzyczy)*

CECYLIA: *(wchodzi szybkim krokiem)* Panie kierowniku, na miłość Boską, co panu *(zmartwionym i zdenerwowanym głosem)* serce, zdenerwował się pan, proszę zażyć te krople. *(Po cichu do siebie)* Ja już jestem wykończona, teraz jeszcze i kierownik zasłabł, jak my ten dzisiejszy dzień przeżyjemy... I to codziennie będzie taka harówka...
(Nagle słychać radosny wrzask dzieci za oknem)

KIEROWNIK: *(głosem słabym)* Więc drodzy panowie, bardzo mi żal tych dzieci i panów, ale niestety nie mogę uwzględnić waszej prośby. Może już niedługo i w Górkach Odrzańskich powstanie szkoła, tymczasem uczcie je sami.

SOŁTYS: Więc mamy dzieci stąd zabrać i iść z niczym?
(Drzwi się otwierają gwałtownie, wpada Genia)

GENIA: *(radosnym głosem)* Panie kierowniku...

KIEROWNIK: Chwileczkę, skończę z panami najpierw. Trudno, musicie iść panowie z niczym. My tych dzieci do naszej szkoły przyjąć nie możemy. Przecież rozważcie sobie na chłopski rozum, czy ta młoda nauczycielka i ja, starszy schorowany człowiek poradzilibyśmy sobie jeszcze z dziećmi z waszej wsi, kiedy ledwo umiemy podołać naszej tutaj pracy.

CECYLIA: Panie kierowniku, najwyższy czas byśmy już szli. *(do Geni)* Może jeszcze z nami pójdziesz do kościoła, bo na ranny pociąg już nie zdążysz...

GENIA: *(skandując)* Ja już nie potrzebuję zdążyć ani na ranny, a-ni na żaden pociąg...

OB. MALINIAK: Tośmy 7 kilometrów gnali nasze dzieci po darmo. No, wola Boska, widać nie wskazano im się uczyć... *(Wrzawa dzieci znów wzmaga się)*

SOŁTYS BOŻEK *(wolno czyta sentencje wypisane na tekturkach)* Tak, tak,
„Nasza szkoła wszystkich woła
Nasza szkoła wszystkich uczy
Nasza szkoła jest wesoła
Cały dzionek dziećmi huczy".
„Polska szkoła nad Odrą i Nisą odbuduje pokój na świecie".
„Nauka i praca narody wzbogaca". Tak, tak...
(Chwila ciszy, wreszcie odzywa się sygnaturka kościoła, wzywająca na nabożeństwo)

SOŁTYS: No, chłopy, chodźmy, niczego nie wystoimy...

GENIA: Proszę panów, gdzie idziecie? Przecież ja już wszystko załatwiłam z dziećmi. Ja je będę uczyć, jestem również nauczycielką, tylko nie chciałam tu zostać, ale teraz już jestem przekonana. Zrozumiałam. Porwał mnie entuzjazm tych dwu ofiarnych ludzi.

CECYLIA: Geniu...

GENIA: Celu, byłam wariatka, nie gniewaj się na mnie, zostaję z wami. *(całują się)*

SOŁTYS: Więc niby co, panie kierowniku?

KIEROWNIK: Sprzyja wam szczęście, panie sołtysie. Więc i Górki Odrzańskie mają swoją nauczycielkę. A teraz jazda, bo już późno.
(Kroki wychodzących, drzwi się zamykają, gwar dzieci się ucisza. Słychać oddalający się śpiew dzieci: „Myśmy przyszłością narodu...")

Zbyszko Bednorz.

Krótkie spięcia

„Lesigism"

Parę słów jeszcze raz napiszemy o pocztówkach. Pocztówka, jako taka, jest dziedziną na ogół tajemniczą. Skąd się bierze i kto ją wydaje, zwykle się nie wie, jako że przecież tylko taką kartkę się kupuje, i nie bardzo oglądając się na to, co ona przedstawia, wysyła się ów skrót epistolarny w świat. Dopiero odbiorca zwykle się zastanawia, kto mógł tego rodzaju kicz popełnić, kto mógł go wydać i kto mógł go sprzedać.

Kicz pocztówkowy jest równie stary jak sama pocztówka i co gorsza posiada mimo wszelkich zmian ustrojowych i gospodarczych, wszystkie szanse przetrwania przez wieczność.

Na przykład ostatnio znowu ukazały się w sprzedaży, ale na razie tylko na Dolnym Śląsku, pocztówki z ilustracjami z „Trylogii". Wydawnictwo nazywa się tak: „Wydawnictwo Pocztówki, Kraków — Tarnów, Edition Pocztówka Cracovie". Ilustracje te są potworne. Jakieś malunki od siedmiu boleści, kiczowate w najwyższym stopniu, jednym słowem knoty takie, że aż chce się wyć. Według wszelkich cech prawdopodobieństwa, t. zn. sądząc po „stylu" malarskim, jest to reedycja, powtarzana iks razy na przestrzeni przynajmniej pół wieku, a powtórzona teraz jeszcze jeden raz, aby był komplet. No cóż — kicz malarski zawsze ma powodzenie, a jego reprodukcja i sprzedaż staje się bez najmniejszego ryzyka najlepszym interesem.

Ale zresztą seria kiczów trylogijnych (zresztą anonimowych, nie zawierają bowiem żadnego „pinxit") jest nie tylko potworną obrazą malarstwa, lecz również straszną krzywdą wyrządzaną językowi polskiemu. Na odwrocie bowiem każdej pocztówki widnieją podpisy, a podpisy te brzmią wprost niesamowicie.

Na przykład: „W o ł o d y j e w s k i na okopach". Nie Wołodyjowski! Albo: „Kmicic na widok k r o l a"... Diabli wiedzą. Albo: „Popatrzę n a c i ę mówił Bohun..." Nie na cię, tylko „nacię". Jaką nacię, do jasnej naci?! Albo: „Ostatnie chwile W o ł o d y j e w s k i e g o". Znowu Wołodyjewskiego, a nie Wołodyjowskiego! Albo jeszcze raz to samo: „Pojedynek W o ł o d y j e w s k i e g o z Bohunem". Uparli się z tym „Wołodyjewskim" i koniec. Trudno. Albo: „Śmierć R a d z i w i e ł ł a". Nie Radziwiłła, tylko „Radziwiełła". Żeby przynajmniej jeszcze tutaj zarymowali „Śmierć Radziwiełła bardzo nas zadziwieła"...! Ale gdzie tam — nie rymują.

Wreszcie nadchodzi najkapitalniejszy podpis, mieszczący się w jednym słowie pt. „L e s i g i s m" Dosłownie: „Lesigism"! No „Lesigism i już.

Cóż to znaczy ten „Lesigism"? Ano znaczy on to, że na „obrazku" jest przedstawiony w normalny jak na wszystkich tych pocztówkach, potworny sposób — Longinus Podbipięta, ścinający słynne trzy głowy. No i ten jakiś bałwan, który układał podpisy, wykoncypował zamiast Longinusa — Lesigism!

Straszne.

Poza tym w tej serii „Edition Pocztówka Cracovie" znajduje się pokraczna ilustracja do „Halki" Moniuszki. Siedzi sobie jakieś tłumakowate dziwczę (broń Boże nie dziewczę) na skale nad wodą, a podpis pod tym wszystkim mówi: „Szumią jodły na gór szczycie..."

Czyżby to miał być Jontek, przebrany w babską spódnicę i śpiewający swoją znaną arię? Niestety, bliższe oględziny malunku nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że to jednak jest dziwczę, a nie żaden mężczyzna. Czyli innymi słowy kochana Halka śpiewa arię Jontka.

Och biedny Sienkiewiczu i biedny Moniuszko! Jak to nad Wami potrafi się znęcać „Edition Pocztówka Cracovie"!

I za co, ja się pytam, za co...?!

Niejaki X.

SZCZECIN
TYGODNIK WYBRZEŻA

Z prawdziwą radością notujemy fakt, że wydawany nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Polskie Pismo i Książka" tygodnik „Szczecin" bardzo wydatnie poprawił swój poziom. Krytykowany kiedyś tygodnik przynosi dzisiaj chlubę wydawnictwu, które przecież nie dysponuje zbyt wielkimi funduszami. Redakcji, która potrafiła przełamać złą passę i po niepowodzeniach postawić pismo na należytym poziomie, należy się szczególne uznanie. Niedawno „Szczecin" wydał setny, jubileuszowy numer. Bratniemu pismu, które z każdym numerem rozwija się jeszcze i coraz lepszą nam prezentuje treść, przesyłamy wraz z życzeniami wszelkiej pomyślności, serdeczne pozdrowienia.

Ostatni (103) numer „Szczecina" porusza m. in. zagadnienia rozbudowy portu szczecińskiego (inż. Henryk Wagner). W osobnym artykule (Czesława Piskorskiego) zajmuje się szczecińskimi szlakami wycieczkowymi. Ciekawy reportaż o „Zetorach", tj. traktorach czeskich, importowanych przez nas z Berna, daje E. K. Michałowicz. Dużo miejsca zajmują w numerze sprawy kultury i sztuki na Wybrzeżu, sprawy niemieckie, proza artystyczna i wiersze. Na uwagę zasługuje jeszcze artykuł St. Urbańczyka „O pochodzeniu nazwy Szczecin".

Czytajmy tygodnik Wybrzeża „Szczecin"! (w.)

JAK GDYBY NIGDY NIC ...

Der Bürgermeister der Stadt Dachau

Die Stadt Dachau

erwartet auch einmal Ihren Besuch

Herkomerstrasse

Miasto Dachau, które w historii ludzkości zapamiętane będzie raz na zawsze jako miasto masowych mordów, jak gdyby nigdy nic reklamuje się jako miasto spokojne, urodziwe i gościnne. Zamek i muzeum, kolonia artystów i widoki alpejskie, nowoczesne kąpiele rodzinne (?!) i kąpiele błotne, co 30 minut autobus i kolej do Monachium — oto sensacje Dachau, które poleca oglądać burmistrz miasta. A tymczasem Dachau ... eh, nie warto wspominać. Jak to powiedział Hölderlin? „Obłuda krąży i pamięć mota i znów się ręka ukwiecona wznosi na powitanie braci zabitego ..."

„Słomkowy kapelusz" w Katowicach



Irena Romańska i Ireneusz Erwan w wesołej scenie tej doskonale zagranej w Katowicach komedii

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.
R 13266